EPOKA

ROK V. Warszawa, 25 sierpnia 1938 r. Nr 24 (127)

Treść: *R. E. WERNER:* Powiew patriotyzmu. — *ROMAN LANG:* Pokoju nie można wyżebrać. — Zachód mówi o manewrach niemieckich: głosy prasy angielskiej, francuskiej, amerykańskiej, i niemieckiej. *NATALIA WIŚNIEWSKA i W. K. BIEŃKOWSKI:* O najnowszych książkach. — *J. D. HOPENSTAND:* Sztuka — to nie protokół dyplomatyczny. — *ZYGMUNT NAŁĘCZ:* Czas nagli. — Z dnia na dzień.

Powiew patriotyzmu

W ubiegły poniedziałek przeszły ulicami Warszawy dwa pochody. Każdy z nich reprezentował inny, odmienny, przeciwstawny drugiemu, świat.

Mundury, barwne stroje, podniesione w górę, na modłę Berlina i Rzymu, w faszystowskim pozdrowieniu ręce, to był pochód jeden. Jego uczestnicy przyjechali specjalnymi pociągami, za kilka złotych, z najdalszych krańców Rzeczypospolitej. Mieli do swojej dyspozycji darmowe samochody, zniżki w kinach, gulasz za 25 gr. A przecież, choć krzyczeli głośno i obficie, dziwnie chłodno witała ich warszawska ulica. I oni sami chwilami jakoś dziwnie czuli się na tej ulicy. Bo inaczej skądżeby kresowi defilanci zabłądzili — jak o tym opowiada „Dziennik Ludowy" — aż do lokali P.P.S. i Tura? W swoim żywiole czuli się jedynie nieliczni falangiści, którzy zostali p. Galinatowi w spadku po p. Rutkowskim. To oni nadawali ton całej tej imprezie. To oni rzucali hasło najczęściej słyszane: „Niech żyje Warszawa bez Żydów!" a wstydliwie jakoś przemilczane w triumfalnych sprawozdaniach ozonowej prasy. Rękę „polskich hitlerowców" czuć było również w innym, zgoła niezwykłym dla tego towarzystwa haśle: „Precz z kapitalizmem!" rzucanym systematycznie i planowo przez „zapiewajłów" w granatowych mundurach, również dyskretnie przemilczanym przez „Gazetę Polską" i wszelkie czerwoniaki. P. prezes Karszo-Siedlewski, magnat kartelowy i szara eminencja sanacji, musiał uśmiechać się pobłażliwie, słysząc te „groźne" antykapitalistyczne okrzyki swych pretorianów.

Uczestnicy pochodu drugiego przyszli do miasta piechotą, nieliczni może koleją lub własnymi furmankami. Nie korzystali z żadnych ulg i zniżek, nie było dla nich darmowych samochodów i kin, za gulasz musieli płacić, jeśli mogli, pełną cenę restauracyjną. Chłopi prawdziwi, nie przyszli w barwnych, ludowych strojach, przyszli w codziennych surdutach i maciejówkach. Nie ściągali ich na wielkich połaciach Rzeczypospolitej sołtysi i wójtowie, obietnicą darmowych rozkoszy. Przyszli, z jednego tylko powiatu, na jedno słowo wezwania swej własnej, chłopskiej organizacji, przyszli za głosem chłopskiego sumienia. I może właśnie dlatego, jakże inny duch ożywiał ich szeregi! Napewno nikt z nich nie zbłądził do ozonowego lokalu. Napewno nikt z nich nie byłby, jak biedni Z.M.P.-owcy na Marszałkowskiej ulicy, krzyknął przez pomyłkę „precz" pod adresem własnej organizacji.

Dziwnie twarde i surowe były twarze uczestników ludowcowej demonstracji. Jednakowo surowe były twarze siwych, starych chłopów, pamiętających jeszcze czasy ponurej carskiej niewoli, jak twarze młodych wiciarzy i wiciarek, ze skupieniem dzierżących w swej dłoni zielone sztandary Stronnictwa. Dziwnie twardo brzmiał ich krok po warszawskim bruku. Z nimi szła demokratyczna Warszawa. Nie było tu miejsca na spory i lokalne waśnie. Na przekór reakcyjnym intrygantom z różnych „Głosów Narodu", błękitny sztandar Związku Hallerczyków widniał tuż obok czerwonych przepasek turowców, delegaci Stronnictwa Pracy nie uciekli przed głośno huczącymi okrzykami:: „Niech żyje P.P.S!"

Obchód „Czynu Chłopskiego" stał pod znakiem braterstwa całej demokracji. Od najumiarkowańszego po najbardziej radykalne społecznie jej skrzydło. Ale przede wszystkim odbył się pod znakiem braterstwa robotników i chłopów. „Niech żyją politycznie świadomi chłopi i robotnicy", to hasło bez przerwy niemal powtarzające się w pochodzie, jakże wyraźnie ilustruje poczucie łączności, poczucie wspólnoty doli obu tych podstawowych odłamów narodu. A w słowach mówców ludowcowych, ileż było serdeczności, ileż było przyjaźni dla „braci robotników"! Czuło się na Rynku Staromiejskim: oto zeszły się dwie główne siły polskiego społeczeństwa, by zawrzeć ze sobą sojusz na śmierć i życie, sojusz nie sztuczny, sojusz podyktowany nie jakimiś kombina-

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem. Cena egzemplarza gr 50

cjami przywódców, a samą ich własną istotą. W chwili, kiedy u końca zebrania do słów chłopskiej pieśni podniosły się w robotniczym pozdrowieniu, twarde chłopskie pięści, myśleliśmy: oto zapadają w serca tysiącznych rzesz ziarna braterstwa broni, którego żaden wróg i żadna intryga nie rozbiją.

Wiew głębokiego patriotyzmu, głębokiej troski o ojczyznę, unosił się nad Rynkiem Starego Miasta. Nie mówiono tam tyle o patriotyźmie, o państwie, o wielkości narodu, co na wiadomych defiladach. Ale słowa, które tam padały, to nie były puste liczmany, wytarte od długoletniego zużycia frazesy. Ten wielotysięczny tłum rozumiał: Polska, to on i jego bracia, zgromadzeni w tej samej porze w setkach miast i wsi Rzeczypospolitej. Ten wielotysięczny tłum rozumiał: losy Polski zależą od tego, czy ster jej znajdzie się na czas w rękach jej jedynego gospodarza, ludu polskiego. I kiedy, tuż po hymnie narodowym, rozbrzmiały tony starej pieśni polskiej demokracji, „gdy naród do boju", to w tej kolejności było jakby symboliczne stwierdzenie faktu: nie będzie zabezpieczoną Niepodległość Polski, dopóki nie będzie zabezpieczona demokracja w Polsce. Hasło uparcie rzucane w pochodzie: „Polska musi być ludowa" stawało się jakby naczelną wytyczną polskiej racji stanu.

R. E. WERNER.

Pokoju nie można wyżebrać!

Znowu, jak w pierwszych dniach marca b. r., armia niemiecka odbywa swe manewry. Tylko — dziesięćkroć, kilkadziesiąt razy większe niż wtedy. Znowu po dolinach pogranicza przesuwają się zmotoryzowane dywizje. Tylko tym razem tych dywizji jest wielekroć więcej.

Nie tylko armia stała została uruchomiona w tych manewrach. Kilkaset tysięcy rezerwistów powołano pod broń. Przywdzieli mundury „feldgrau" starzy żołnierze wojny światowej, którzy skrwawili je już ongi krwią swoją i obcą. Dalszych kilkaset tysięcy ludzi, oderwanych rozkazem powołania od warsztatów pracy i rodzinnych ognisk, buduje w gorączkowym tempie „linię Siegfrieda" na granicy zachodniej. Życie całych Niemiec pulsuje gorączkowym tempem.

Stanęły prace nad przebudową Berlina, tak ulubione przez „Führera". Pustką zieją przekopane po ulicach rowy — robotnicy, którzy je kopali, są w tej chwili gdzieś nad Renem, lub w saksońskich górach. Pasażerowie nie czekają na stacjach autobusowych — w niektórych miastach wszystkie autobusy, zarekwirowane przez wojsko, odesłane zostały gdzieś daleko — przewożą transporty w polowym rynsztunku.

Pracują telefony dziennikarzy i dyplomatów, na łamach prasy światowej coraz gęściej czernieją krzykliwe nagłówki, a setki tysięcy „szarych ludzi", w Niemczech i poza Niemcami stawiają sobie z coraz to rosnącą troską pytanie: co to wszystko ma oznaczać?

Zwykłe manewry wojskowe — odpowiada dyplomacja Rzeszy. Zwykła próba sprawności niemieckiej siły zbrojnej, która przecież tak długo nie mogła się jawnie rozwijać. Zwykła, bieżąca praca sztabów, które przecież swe koncepcje muszą wypróbowywać w realnej rzeczywistości pola bitwy, poddawać je sprawdzeniu w terenie, w żmudnym żołnierskim trudzie wypracowywać pełną sprawność tej wielkiej fabryki śmierci, której na imię: wojna.

Więc wojna?

Czy rzeczywiście? Ale cóżby w takim razie znaczył fakt, że z każdym nowym transportem rezerwistów, przebranych w polowe mundury, rośnie upór henleinowskich przedstawicieli przy pertraktacjach nad Wełtawą, w złotej Pradze? Ale dlaczego w takim razie każda nowa dywizja zmotoryzowana stająca nad granicą znaczona jest nowym wybuchem antyczeskich namiętności na łamach organów p. Goebbelsa? Dlaczego w takim razie postępy w niemieckiej organizacji manewrów idą równolegle z gwałtownym pogorszeniem stosunków włosko - francuskich? Po co w takim razie podróże Balbo i Pariani, poco cała gorączkowa działalność dyplomacji „osi"?

Więc — wojna? Więc rzeczywiście tam gdzieś między Pałacem Weneckim a willą w Berchtesgaden zapadło postanowienie wykorzystania nagromadzonych zapasów broni, póki czas, póki zbrojenia angielskie i francuskie jeszcze nie dobiegły końca, póki blok pokojowy mocarstw demokratycznych nie przeszedł jeszcze ze stadium mów w stadium twardych sztabowych porozumień, póki tokijski sojusznik nie skrwawił się ostatecznie w bezkresnych przestrzeniach Chin? Więc może rzeczywiście ruszą już w najbliższych tygodniach trzymane dotąd na uwięzi stalowe potwory, zahuczą armaty, zapłonie nie Abisynia już, nie Daleki Wschód, nie Hiszpania nawet, lecz cały kontynent europejski?

I to wydaje się nam nieprawdopodobne, przynajmniej, jeśli chodzi o plany, świadomie układane przez dyktatorski blok. Bo „oś" w tej chwili do wojny na wielką skalę, do wojny europejskiej bynajmniej przygotowaną nie jest. Świadczy o tym najlepiej Hiszpania, gdzie korpusy ekspedycyjne obu głównych partnerów „osi" od dwóch lat nie mogą dać rady słabo uzbrojonym oddziałom wojskowym jednego jedynego, i to jednego z mniejszych, kraju europejskiego, oddziałom wojskowym o improwizowanym kierownictwie, oddziałom wojskowym, których wyszkolenie bojowe zaczęło się dopiero w chwili wybuchu zbrojnej walki. Świadczą o tym trudności techniczne, ujawnione przy zdobywaniu Austrii, kiedy to, o zgrozo, dywizja tankowa niemiecka ugrzęzła na gościńcu i dopiero koleją została przetransportowana do Wiednia. W regularnej wojnie przeciwnik nie postawi swej własnej kolei do dyspozycji niemieckich tanków... Świadczy o tym źle ukrywana ulga, z jaką Rzesza przyjęła odwrót swego japońskiego sojusznika z grożącej niebezpiecznymi komplikacjami awantury pod

Czang-Ku- Feng, choć przecież ten odwrót połączony był z wcale znaczną i szczególnie dotkliwą ze względu na prestiżową wrażliwość Dalekiego Wschodu, „utratą twarzy" Japonii. Rzesza niemiecka, „oś" jako całość boją się w tej chwili generalnego starcia w Europie, bo wiedzą, że nie one wyjdą zwycięsko z tego starcia.

Zuchwała taktyka

Więc o co chodzi? W manewrach niemieckich mamy, doprowadzoną do kulminacyjnego punktu, taktykę Rzeszy, taktykę zresztą również Włoch, stosowaną od lat: jest to taktyka wymuszania, groźbą wojny, której się zresztą samemu boi, takich ustępstw, jakie, nawet przy pomocy wojny, trudno by było inaczej uzyskać. To w ten sposób, przy pomocy Lavala, Włochy zamieniły sankcje anty-włoskie w mizerną komedię, doprowadziły do końca podbój Abisynii, wzięły Egipt w obcęgi swych kolonii. To w ten sposób, przy pomocy tym razem Chamberlaina, Włochy usadowiły się solidnie na wyspach Balearskich a Niemcy w afrykańskich koloniach i protektoratach Hiszpanii. To w ten sposób Niemcy przeprowadziły, krok za krokiem, remilitaryzację Nadrenii (jakże dotkliwie odczuwa Francja, w kryzysie obecnym, fakt niemieckiej „Wehrhoheit" nad niemieckim brzegiem Renu!), to w ten sposób dokonano Anschlussu Austrii (jak dotkliwie płaci dziś Czechosłowacja za niedocenienie w poprzednich latach całej wagi tego zagadnienia!). Teraz próbuje się osiągnąć, tymi samymi środkami, kapitulację Czochosłowacji przed niemieckim „Drang nach Südosten".

Ale tego rodzaju polityka ma jedną niesłychanie niebezpieczną stronę. Oto przychodzi wreszcie moment, kiedy ci, którzy dotąd ustępowali, rzucali raz po raz ochłap „na odczepne", więcej ustępować nie mogą i nie chcą, kiedy ci, którzy dotąd stali zdaleka, zaczynają się niepokoić o swoją własną przyszłość. Niesłychanie trudne staje się wtedy wycofanie w porę, za nim wojna, którą się groziło, nie wierząc w nią, stanie się krwawą rzeczywistością. Japonii udał się odwrót pod Czang-Ku-Feng. Japonia ma wojnę chińską, na której może wyładowywać narazie gromadzące się wskutek nacjonalistycznej hecy namiętności. Komu innemu odwrót może się nie udać.

A tymczasem — taktyka wymuszania zaczyna się już wyczerpywać. Dzień 21 maja b. r., kiedy jeden telefon posła angielskiego do dyrekcji kolei, z prośbą o przygotowanie pociągu dla wywiezienia angielskich obywateli ze stolicy Rzeszy wystarczył do zahamowania wojennego rozpędu Niemiec, jest niezwykle pouczający nawet dla ludzi, którzy, jak dyplomaci, uważają ślepotę polityczną i ignorowanie mowy faktów za coś w rodzaju kwalifikacji zawodowej. Trzeba przyznać, że polityka „osi" robi, co może, by przyspieszyć proces dojrzewania świadomości politycznej w kołach rządzących i w masach ludowych Zachodu.

Hołubienie bestii

Cóż dały Europie, cóż dały pokojowi międzynarodowemu wszystkie kolejne ustępstwa przed totalistycznym „dynamizmem". Cóż przyniosła zgoda na dozbrojenie Rzeszy, na wprowadzenie przymusowej służby wojskowej w Niemczech, na ufortyfikowanie Nadrenii? Zwolennicy kapitulacji głosili, że ustępstwa te zaspokoją obrażoną dumę narodową Niemiec, że przywrócenie ich równouprawnienia skłoni Niemcy hitlerowskie do pokojowego włączenia się do wielkiej rodziny narodów świata. Ale oto widzimy, jak odzyskana swoboda zbrojeń wykorzystywana jest do dalszych, tylko na wielekroć większą skalę, tylko o wiele zuchwalszych wymuszeń. Cóż przyniosła Europie zgoda na podbój Abisynii? Filo-faszyści Zachodu głosili, że Włochy, posiadając Imperium, skierują całą energię na eksploatację jego bogactw, że, nasycone ostatecznie, staną po stronie pokoju. Ale jeszcze nie została ukończona pacyfikacja Abisynii, a już Włochy rozpoczęły nową wojnę, tym razem na półwyspie iberyjskim. Cóż dała przyjazna postawa wobec ofensywy japońskiej w Mandżu-Kuo? Mówiono wtedy, że Japonia, zagarnąwszy Mandżu-Kuo, da spokój, że Mandżuria to kąsek, wystarczający na dziesiątki lat. Zwolennicy kapitulacji przekonali się niebawem, na gruzach swych własnych willi w Szanghaju, że i tutaj ulegli złudzeniu, że kąsek mandżurski tylko zaostrzył apetyt tokijskich „budowniczych Imperium".

Trzeba to stwierdzić jasno, dobitnie i wyraźnie: „osi" nie uspokoją takie czy inne ustępstwa, nie uspokoją jej Sudety, Bilbao czy nawet Hankau. „Osi" nie uspokoją honory i przyjazne słówka. „Oś" dąży do panowania nad światem i wie doskonale, że takie panowanie zdobywa się tylko z bronią w ręku. W tej chwili celem „osi" jest stworzenie sobie pozycji wyjściowych do tego „ostatecznego boju". Hiszpania i Sudety, Hankau czy Abisynia, to tylko poszczególne forty, z których „oś" kiedyś myśli rozpocząć decydujący ogień. Ten, kto jej te forty oddaje, bierze za to ciężką odpowiedzialność przed swym własnym krajem, służy nie pokojowi, lecz wojnie, wojnie, gotowanej przez „oś". Jedna jest tylko droga zapobieżenia tej wojnie: obrona, bezwzględna obrona każdej, dotąd utrzymanej pozycji, przywrócenie w życiu międzynarodowym zasad prawa i poszanowania własnych zobowiązań, porozumienie wszystkich zagrożonych bezpośrednio lub pośrednio, atakowanych już dziś, lub mających być zaatakowanymi dopiero jutro. Ta droga, którą wskazuje w ostatnich tygodniach bez przerwy wielka demokracja amerykańska, co ongi, przed laty dwudziestu zadecydowała swym wystąpieniem o losach wojny światowej.

Na progu wielkiego okresu

Wojna czy pokój? Wojna, czy pokój nie tylko dziś i jutro, nie tylko w najbliższych kilku tygodniach, ale pokój czy wojna w tym całym okresie dziejowym, który dzisiaj przeżywamy? Decyzja leży w rękach kierowników polityki zagranicznej mocarstw Zachodu.

Pokój, jeżeli ta polityka pójdzie po linii głoszonej w Anglii przez Winstona Churchilla, Edena, Lloyd George'a, Attlee, we Francji po linii de Kerillis, Herriota, Bluma, po dawnej linii w sile wieku zamordowanego Barthou, w Stanach Zjednoczonych przez prezydenta Roosevelta i sekretarza Stanu Hulla. Jeśli powstanie porozumienie mocarstw demokratycznych, blok obrony pokoju, blok obrony każdego napadniętego i zaatakowanego. Jeśli w życiu międzynarodowym przywrócone zostaną zasady prawa i poszanowanie traktatów. Jeśli „oś" będzie wiedziała, że każdy następny jej atak spotka się z przemożnym oporem sił wielekroć od niej potężniejszych, jeśli nie

pozwoli się jej zdobywać coraz to nowych pozycji wyjściowych dla nowych ataków i agresji, przyczółków mostowych przyszłej generalnej ofenzywy. Pokój, jeśli „oś" będzie wiedziała, że każdej jej agresji, choćby najmniejszej, przeciwstawi się solidarność wszystkich, którzy chcą pokoju, jeśli będzie wiedziała, że na końcu każdej jej próby agresji stać będzie nieunikniona klęska, a może i ostateczny pogrom.

Wojna jeśli zwycięży kierunek Flandina i angielskich „die-hardów", którzy z sympatii dla faszyzmu zapominają o interesach własnych Imperium Brytyjskiego.

Wojna, jeśli międzynarodowa solidarność reakcji, jeśli chwiejność i niezdecydowanie niektórych demokratów pozwolą „osi" na dalsze agresje, pozwolą jej zdobyć sobie w Europie Południowo-Wschodniej szerokie zaplecze dla przyszłej ofensywy na Zachód, jeśli sukcesy taktyki szantażu będą zachęcać dyktatorów do coraz wydatniejszego jej stosowania. Wojna, jeśli dwuznaczność polityki niektórych zachodnich mężów stanu — typu Chamberlaina — pozwoli dyktaturom zaangażować się w pewne sprawy tak głęboko, że nie będzie już dla nich odwrotu, że będą one wolały wojnę od nieuniknionej, jawnej dla wszystkich, brzemiennej złowrogimi dla nich, wewnętrznymi konsekwencjami, kompromitacji.

Pokoju nie można wyżebrać, nie można kupić, nie można wypertraktować tam, gdzie istnieje siła, gotowa do jego pogwałcenia i licząca się tylko z siłą. W takich warunkach pokój trzeba wywalczyć własną determinacją, zabezpieczyć własną siłą, zorganizować porozumieniem wszystkich jego naturalnych obrońców.

ROMAN LANG

Zachód mówi
o manewrach niemieckich

REZERWIŚCI POD BROŃ...

„Cechą szczególną obecnych manewrów niemieckich jest udział rezerwistów, zgrupowanych w odrębnych formacjach. Podług źródeł niemieckich, kontyngenty rezerwistów, mobilizowanych przy sposobności tych manewrów, ocenić można na około 350 tys. ludzi, przy czym powoływani oni będą na przestrzeni blisko dwunastu tygodni".... ,

„W toku tych ćwiczeń, po raz pierwszy zastosowana będzie ustawa z dn. 19 czerwca 1938, pozwalająca na rekwirowanie, w czasie pokoju, wszystkiego, co jest potrzebne dla utrzymania lub dla transportu jednostek wojskowych, znajdujących się w pogotowiu wojennym. Ostatnio ogłoszone zostały stawki, płacone właścicielom zarekwirowanych koni i samochodów".

„Prawo rekwizycji rozciąga się również na ludność cywilną, która jest trzymana w pogotowiu dla wykonywania wszelkiego rodzaju robót przy okopach".

„Manewry obejmują całą Rzeszę".

„W ciągu całego tego okresu dwunastu tygodni Rzesza będzie więc miała stale pod bronią 1,350 tys. ludzi.

„Równocześnie dalszych 300 — 400 tys. ludzi pracuje stale przy robotach fortyfikacyjnych. Ludzie ci skoncentrowani są w obozach na Zachodzie Rzeszy i mogą być zatrzymani zdala od domu przez przeciąg sześciu miesięcy".

„Pod broń powołano nie tylko nielicznych stosunkowo rezerwistów nowej Reichswehry, ale również byłych żołnierzy wojny światowej, którzy mają być ujęci w specjalne formacje pospolitego ruszenia. Ludność i życie gospodarcze zostały mocno poruszone zarządzeniami wojskowymi, które dotąd, przynajmniej w takich rozmiarach, były tu nieznane. To samo odnosi się i do innych, odpowiadających zarządzeniom mobilizacyjnym, zarządzeń próbnych, jak rekwizycja środków komunikacji, przegląd koni, wojskowe transporty kolejowe itp.".

„Neue Züricher Zeitung"

„Korespondent Wasz był świadkiem, jak odchodził z Berlina pociąg specjalny do Trewiru blisko granicy luksemburskiej, wiozący 500 ludzi na roboty fortyfikacyjne. Większość spośród nich byli to robotnicy, ale nie brakło i inteligentów. Pociąg odszedł szybko, niewielka tylko liczba krewnych odprowadzała zmobilizowanych. „Rekruci pracy" nie mieli możności mówienia z obcymi, ale było widoczne, że wielu spośród nich, odwołanych nagle od codziennej pracy, wcale nie było pewnych, jaka praca będzie ich oczekiwała na miejscu przeznaczenia i miało wrażenie, że rzuca się ich na czas nieokreślony w nieznaną awanturę. Widać było, że wielu z nich wyjeżdża z bardzo różnymi uczuciami".

„The Times"

REZERWY SUROWCOWE DO MAGAZYNÓW...

„Z ogłoszonych ostatnio statystyk importowych wynika, że w ciągu ostatnich sześciu miesięcy, Niemcy wzmogły import niektórych środków żywności i surowców przemysłowych poprostu w niezwykły sposób. Ten gwałtowny wzrost importów niemieckich da się wytłumaczyć jedynie, przyjmując, że rząd Rzeszy tworzy w tej chwili olbrzymie rezerwy surowców na wypadek, gdyby wszelki import z zagranicy został zamknięty".

„W szczególności zwraca uwagę wzrost importu: owsa z 1,3 mil. q na 2,3 mil. q., bawełny z 1,5 mil q. na 1,8 mil. q., rudy żelaznej z 93 mil. q. na 107 mil q., Rud ołowianych z 400 tys. q. na 1 mil. q., rud cynkowych z 400 tys. q. na 700 tys. q., złomu żelaznego z 2,3 mil. q. na 5,6 mil. q.".

Gwałtowny ten wzrost importu następuje w chwili, gdy Niemcy cierpią na dotkliwy brak dewiz, gdy eksport niemiecki cofa się i gdy w gospodarce niemieckiej przeważają coraz bardziej tendencje autarkiczne".

„Agence Economique et Financière"

„Wczoraj wydany został przez premiera Goeringa dekret zobowiązujący młynarzy i przetwórców zboża do zmagazynowania określonych ilości, równych kilkomie-

sięcznej ich konsumcji. Rozporządzenie to należy do kategorii zarządzeń „polityczno-wojskowych“ mających na celu, jak się tu mówi, zabezpieczenie Niemiec przed wszelkimi ewentualnościami, mogącymi wyniknąć pomimo niemieckiego przywiązania do pokoju“....

„Zdaje się, że Niemcom brak możliwości pomieszczenia wszystkich zapasów, których gromadzenie uważane jest za niezbędne. Ogólnie ocenia się, że Niemcy w tej chwili posiadają zapasy żywności i podstawowych surowców, wystarczające na pokrycie trzymiesięcznego normalnego zapotrzebowania“.

Komunikat Havasa.

ZGRZYTY W APARACIE

„Powołanie pod broń tak wielkiej liczby rezerwistów, powołanie do „służby pomocniczej“ tak wielkiej ilości ludności cywilnej, wniosło sporo zakłóceń w życie gospodarcze i wywołało wiele zaniepokojenia w różnych kołach“.

„Zarządzenia te wywołały niezwykle szerokie niezadowolenie, obejmujące cały kraj. Jednak, wobec żelaznej dyscypliny, stosowanej po drugiej stronie Renu, nie należy się spodziewać, przynajmniej w chwili obecnej, by doszło do ostrzejszych reakcji“.

„W każdym razie, wygląda, jakby we wnętrzu kraju manewry „monstre“ nie spotykały się ze zbyt wielką sympatią i wywoływały raczej wiele obaw“.

„Handelsblat“, Amsterdam

„Nagłe powołanie pod broń rezerwistów i mobilizacja robotników dla prac fortyfikacyjnych zaciążyły poważnie na życiu gospodarczym kraju... Jak daleko posuwa się brak siły roboczej, widać choćby z faktu, że roboty przy przebudowie Berlina, tak drogiej sercu Führera, zostały w wielu miejscach faktycznie zawieszone. Wymieniają nam firmę budowlaną, która musiała oddać dla „robót specjalnych“ prawie dwie trzecie swych kwalifikowanych robotników. Podobne informacje otrzymuje się i z innych gałęzi przemysłu. Napięcie gospodarcze uwydatnia się także w nagle występującym braku niektórych środków żywności w Berlinie“.

„The Times“

GROŹBY

„Nie można żądać od nas, byśmy pragnieniu pokoju poświęcili naszą wolność, nasze prawo do życia narodowego i wychowania niemieckiego naszej młodzieży oraz nasze możliwości rozwoju gospodarczego.

Wszelka koncepcja, która zamienia Czechosłowację w narzędzie polityki antyniemieckiej, nie da się powiązać z dążeniem do pogodzenia wspólnoty niemieckiej w Sudetach z państwem czeskim“.

Konrad Henlein

w organie młodzieży hitlerowskiej w Rzeszy.

„Nerwowość Paryża i Londynu wywołała manifestacje w Pradze, które wykazały jasno, jak bardzo polityka czechosłowacka zależna jest od Moskwy. Czesi zapominają nie tylko, jakie jest położenie ich granic, zapominają oni w ogóle o geografii. Panowie w Pradze powinni pamiętać, że gdzieindziej jeszcze zachowuje się zimną krew“.

„Berliner Tageblatt“

LONDYN OSTRZEGA

„Podobno wiadomości o przygotowaniach militarnych Rzeszy skłoniły przedstawicieli W. Brytanii w Berlinie do zebrania pół-oficjalnych informacji o charakterze i celu tych zarządzeń. Po otrzymaniu odpowiedzi, iż chodzi o zwyczajne manewry, przedstawiciele ci mieli wskazać na szczególną celowość tych manewrów. Ze względu na obecną sytuację polityczną urządza się te manewry nie równocześnie w jednym miejscu, aby sąsiedzi Rzeszy nie byli świadkami uruchomienia olbrzymiego aparatu wojskowego, co do nastawienia którego mogłyby powstać rozmaite wątpliwości“.

Komunikat Havasa z Londynu

„Niemcy chcą wyczerpać nerwowo Francję i Anglię, by one pozwoliły Rzeszy na realizację jej celów politycznych. Zarządzenia wojskowe Niemiec rozpoczęły „bitwę na nerwy“ w Europie. Na razie jednak, jak przy każdym ataku, atakujący cierpi więcej niż atakowani. Podczas gdy giełdy londyńska i paryska pozostały słabe, ale spokojne, giełda berlińska przeżyła swój najgorszy dzień od pięciu lat“.

„Kto ulega panice, działa na rzecz Niemiec, działa na rzecz napastnika“. *„Financial News“*

PARYŻ SPOKOJNY I ZDECYDOWANY

„Niemcy zgodziły się na misję lorda Runcimana. Jeżeli lord Runciman przedłoży projekt kompromisu, mogącego być przyjętym zarówno przez Czechów, jak przez Niemców sudeckich, trudno przypuszczać, by, mimo wzburzenia prasy narodowo-socjalistycznej, rząd berliński zdecydował się na przekreślenie tej propozycji i podjęcie agresji przeciwko Czechosłowacji, agresji, która rozpętałaby wielką wojnę europejską“.

„Wskutek osłabienia Ligi Narodów i polityki kolektywnego bezpieczeństwa, Niemcy uzyskały więcej rezultatów przy pomocy demonstracji siły zbrojnej, niż uzyskałyby przy jej użyciu, nie pozbawionym przecież poważnego ryzyka. Ale i metoda zastraszania zawiera pewne ryzyko, zwłaszcza, gdy jej się zbyt nadużywa. Dzięki porozumieniu angielsko-francuskiemu, polityka pokoju i współpracy rozporządza dziś solidnym oparciem, którego jej brak było jeszcze wczoraj“.

„Le Temps“

„Uzmysławiając opinii angielskiej i francuskiej, pragnącym pokoju, groźne niebezpieczeństwo wojny, Hitler zamierza bezwątpienia uzyskać od gabinetu londyńskiego i paryskiego ponowne wzmożenie nacisku na rząd praski. Być może, wyczuwa on, że ankieta lorda Runcimana daje wyniki, niezbyt pomyślne dla tez sudeckich. Być może, po prostu opanowała go niecierpliwość i chce skończyć“.

„Istnieje niebezpieczeństwo, że ta kalkulacja może się udać. Co do mnie jednak nie wierzę, by Londyn i Paryż zgodziły się być narzędziami hitlerowskiego manewru. Trzeba aby sprawa sudecka została uregulowana, tak jak wszystkie sprawy, ciążące na pokoju światowym. Ale nie wolno, aby została uregulowana kosztem pokoju, niezależności i suwerenności państwa czechosłowackiego. Wierzę, że rząd francuski będzie nad tym czuwał“. *Leon Blum w „Populaire“*

„Zarządzenia militarne mają dać Niemcom oparcie wojskowe w zbliżających się krytycznych tygodniach. Nie wolno się zbyt denerwować, ale trzeba widzieć rzeczy takimi, jakimi są. Niemcy proklamują same iż są największym mocarstwem militarnym Europy. Nikt im

nie grozi. Niebezpieczeństwo wojny może być wywołane tylko przez same Niemcy. Widocznie znajdujemy się znowu przed jedną z tych prób wymuszania, które tak odpowiadają Niemcom. Prawdopodobnie rząd Rzeszy chce tylko przy pomocy koncentracji wojskowej osiągnąć maximum korzyści i nie ma zamiaru stosowania przemocy, ale jeśli będzie on miał wrażenie, że nacisk jego ugnie wolę innych,to może posunąć się tak daleko, że prestiż nie pozwoli mu na wycofanie się. Dlatego, jeśli należy się strzec wszelkich nieprzemyślanych akcji i dążyć ze wszech sił do powodzenia misji Runcimana, to z drugiej strony, nie wolno stwarzać wrażenia, że Niemcy groźbami mogą osiągnąć wszystko, czego chcą". *„Journal des Débats"*

STANY ZJEDNOCZONE ZABIERAJĄ GŁOS

„Wszystkie narody zainteresowane są w zachowaniu sprawiedliwego pokoju, w zachowaniu dobrobytu gospodarczego i porządku prawnego. Wszystkie te cele są dziś zagrożone w wielu częściach świata.

„Stoimy przed problemem, czy przyszłość świata ma być decydowana brutalną siłą zbrojną i częstymi agresjami, wiodącymi do zubożenia i zaniku wolności indywidualnej, wywołującymi anarchię międzynarodową. Droga ta prowadzi przez bezprawie i awantury wojskowe do ostatecznego chaosu. Droga druga, oparta o przestrzeganie międzynarodowych zobowiązań i traktatów, prowadzi do panowania porządku opartego na prawie".

„Naród amerykański pragnie bezpieczeństwa, pragnie postępu i dobrobytu dla siebie i dla wszystkich innych narodów".

„Wierzymy, popieramy i żądamy poszanowania traktatów, dopuszczając zmianę ich postanowień w razie potrzeby, ale w duchu wzajemnej pomocy, i tolerancji".

„Wierzymy, popieramy i żądamy nie ingerowania w sprawy wewnętrzne innych państw, żądamy regulowania istniejących różnic w drodze pokojowych pertraktacji".

„Nasze własne położenie zależy od tego, co się dzieje na świecie. Niezależnie od naszej woli i od naszych nadziei, burze, które szaleją gdzieindziej, muszą dojść i do nas. Kiedy wolność jest deptana na coraz to rozleglejszych terenach, nasz ideał wolności indywidualnej, najdroższe dla nas instytucje polityczne i społeczne są zagrożone".

„Kiedy w części świata przeczy się istnieniu godności ludzkiej, kiedy to zaprzeczenie staje się zawołaniem propagandy i sztandarem armii, ruszającej w pole, wtedy nikt z nas nie może wierzyć, że jego kraj, jego dom nawet, są bezpieczne".

„Dlatego trzeba, aby i nasz kraj zdecydował się połączyć swe wysiłki z innymi narodami, dla poparcia jedynego programu, który może odrzucić wstecz falę bezprawia i skierować świat na drogę pokoju i bezpieczeństwa".

„Jeśli coraz więcej narodów zjednoczy się dla odbudowy zdrowych stosunków gospodarczych, moralności międzynarodowej, dla zwycięstwa zasad prawa i sprawiedliwości, wtedy stanie się jasne, tak jasne, że nawet narody, które dziś opierają swą politykę, wyłącznie na swej sile zbrojnej, zrozumieją, że większość ludzkości zdecydowana jest żyć w świecie, w którym będzie panował porządek i prawo, w świecie w którym bezprawie nie będzie tolerowane".

Sekr. Stanu St. Zj. Cordell Hull, mowa radiowa.

„Precyzując jeszcze raz stanowisko Stanów Zj., sekretarz stanu wybrał dla tego celu właśnie chwilę, w której napięcie w Europie doszło do maximum".

„Wszystko, o czym mówił, odnosiło się wyraźnie do kryzysu europejskiego i stanowi przyczynek Stanów do rozwiązania tego kryzysu".

„Trzeba zwrócić uwagę, że dla nadania większej wagi swemu oświadczeniu, sekr. Hull czekał z nim aż do powrotu prez. Roosevelta.

Dobitniej niż kiedykolwiek, sekr. Hull, podkreślił, że Ameryka nie może przyjąć obojętnie niczego, co się dzieje zagranicą — czy chodzi tu o wojnę, o chaos gospodarczy, czy też o zniesienie wolności politycznej na coraz to nowych terenach świata".

„New - York Times"

CHŁODNA OCENA SZWAJCARÓW

Niemcy w tej chwili chcą uniknąć wojny światowej. Siła zbrojna i gospodarka wojenna, zakrojone przez Trzecią Rzeszę na spełnienie bardzo daleko idących zadań, nie są jeszcze w chwili obecnej dostatecznie rozbudowane, by je można wystawić na ryzyko długotrwałego, obejmującego cały świat, konfliktu. Szanse wygranej istnieją dla nich na razie tylko przy walce z izolowanym przeciwnikiem, walce, w której uzyskać można szybkie rozstrzygnięcie....

„Byłoby jednak grubym błędem, sądzić, iż wobec niemieckiej niechęci, można powiedzieć nawet strachu, przed ogólnym starciem mocarstw, Niemcy będą stosowały przy dążeniu do swych najbliższych celów we wszystkich zagadnieniach jedynie środki pokojowe. Berlin wcale nie chce nawet, aby tak myślano. Raczej przeciwnie. Militarne zarządzenia niemieckie wskazują na to, że Niemcy chcą wywołać wrażenie, jakoby były gotowe do rzucenia na szalę całej swej siły zbrojnej w kwestii sudeckiej. Groźby te w najbliższym czasie przyjmą prawdopodobnie jeszcze konkretniejsze formy. Celem minimalnym polityki niemieckiej jest w tym wypadku wymuszenie na Czechosłowacji, samą demonstracją siły zbrojnej, maksymalnych ustępstw i takie zastraszenie obu mocarstw zachodnich, doradców i sojuszników Czechosłowacji, by się tej, nieco brutalnej, procedurze nie sprzeciwiały. Berlin liczy, że Paryż i Londyn nie dopuszczą do zbrojnego starcia pomiędzy mocarstwami dla sprawy sudeckiej. Dopóki Hitler nie liczy się z tą groźną dlań ewentualnością, nie ma mowy, by Niemcy wywarły „łagodzący wpływ" w Sudetach. Pytanie tylko, jak daleko posuną się Niemcy w swym nacisku, czy będą tylko groziły użyciem siły zbrojnej, czy też użyją jej rzeczywiście".

„Na kompromis i odczekanie dalszego rozwoju zgodzi się Hitler tylko w jednym, jedynym wypadku: kiedy przy całej gotowości do porozumienia po stronie mocarstw zachodnich nie będzie ulegało wątpliwości, że każdy problem gwałtownego rozwiązania kryzysu przez Niemcy napotka na niemniej zdecydowane stanowisko Francji i Anglii, jak dnia 21 maja br.",....

„Niebezpieczna pokusa leży w tym, że wysoki potencjał wojenny Niemiec pozwala mieć nadzieje na wygraną w krótkotrwałej wojnie przeciwko izolowanemu przeciwnikowi. Ale pomijając już fakt, że Niemcy nie doceniają siły oporu Czechosłowacji, Hitler niema wcale pewności, czy taka wojna nie wystąpi odrazu poza ramy Europy Środkowej i nie doprowadzi do ogólnej pożogi, której Niemcy się boją".

„Neue Züricher Zeitung"

Z DNIA NA DZIEŃ

PRZED ZJAZDEM Z. N. P.

W dniach 27, 28 i 29 bm. odbędzie się w Warszawie Walny Zjazd Związku Nauczycielstwa Polskiego. Mija nie długo rok od chwili, w której Związkowi przyszło stoczyć ciężką walkę w obronie swej niezależności — walkę zwycięską dzięki podziwu godnej, niezłomnej postawie zrzeszonego nauczycielstwa i pracowników związkowych.

Uderzając w organizację zawodową nauczycieli, pragnęło zjednoczone wstecznictwo nie tylko zadać cios niezależności Z. N. P., ale też ugodzić w samą zasadę wolności ruchu zawodowego, która jest potężną przeszkodą na drodze do całkowitego stotalizowania życia polskiego. Przygotowane przez pełną nienawiści i oszczerstw kampanię prasy reakcyjnej wszystkich odcieni — rządy komisarskie w Z. N P. natrafiły jednak na zdecydowany opór całej organizacji, popartej solidarnie przez świat pracy, przez wszystkich, którym droga jest wolność, którzy przyszłość Polski i swobodny rozwój kultury narodowej widzą w demokracji i postępie. Walka o niezależność Z. N. P. była tedy wielką bitwą między obozem ciemnogrodzkim, a Polską Ludową — bitwą wygraną przez demokrację. Nauczyciel polski zdobył sobie gorącą sympatię i uznanie rzesz robotniczych, chłopskich i pracowniczych. Świat pracy poparł nauczycielstwo, które w walce tej wysunęło się na czoło pracowniczego ruchu zawodowego, stało się awangardą walczącej o lepsze jutro inteligencji pracującej, wskazało jej drogę braterskiej współpracy z robotniczym ruchem zawodowym, z demokracją chłopską. Walcząc w obronie swej organizacji, nauczyciel polski walczył w obronie wolności i oświaty. Pracownicy Związku, fizyczni i umysłowi, stając ofiarnie po stronie nauczycielstwa, dali piękny przykład solidarności całego świata pracy.

Zjazd lutowy, zjazd zwycięstwa i triumfu, wskazał rzeszom nauczycielskim drogę na przyszłość. Jest to droga demokracji, droga Polski Ludowej, droga, którą kroczy olbrzymia większość narodu. Rzecz jasna, że wstecznictwo, mimo dotkliwej porażki, nie wyrzeknie się i nadal prób podporządkowania sobie Z. N. P., że nie pominie żadnego środka narzucenia swej woli nauczycielstwu, stotalizowania — w tej czy innej formie tym czym innym sposobem — nauczycielskiego ruchu zawodowego. Skoro zawiódł frontowy atak, nie brak przecież innych, bardziej cierpliwych i mniej jaskrawych, ale bodajże skuteczniejszych metod. Czy się to wstecznictwu powiedzie — o tym zadecyduje obecny Zjazd. Zadecyduje, czy organizacja nauczycielska będzie mogła pójść naprzód, w kierunku zgodnym z wolą nauczycielstwa, z ideałami i dążeniami świata pracy, z potrzebami kultury polskiej, z interesem Rzeczypospolitej. Tego oczekuje od Zjazdu cała niezależna, demokratyczna i prawdziwie patriotyczna opinia kraju. Każde kierownictwo Z. N. P. które tym nadziejom zadość uczyni, może liczyć na szczerą sympatię i czynne poparcie demokracji polskiej.

Serdeczne węzły

Uczestnicy wycieczki młodzieży czechosłowackiej, która bawiła nie dawno w Polsce, wystosowali do młodzieży polskiej podziękowanie za serdeczne przyjęcie, jakiego doznali w naszym kraju. Mili goście w słowach pełnych uznania podnoszą przyjacielską gościnność młodej demokracji polskiej — „wspominając z wdzięcznością i miłością cały polski naród, pragnąc, by z obu stron szukano tego, co łączy, i usuwano poszczególne braki i przeszkody". Poczem składają zapewnienie: „Będziemy jako czechosłowacka młodzież demokratyczna kontynuowali wzajemne stosunki i ufamy, że w najbliższym czasie będziemy mogli powitać młodzież polską w Republice Czechosłowackiej. Zbudowaliśmy mosty, łączące nasze serca z sercami braci naszych Polaków i poprowadzimy po nich nowe generacje naszych krajów w słowiańskiej zgodzie do trwałej przyjaźni".

Jak wiadomo, gości czechosłowackich witała w Warszawie młodzież socjalistyczna, wiciowa, Klubu Demokratycznego i RIOK, a na Pomorzu i w Wielkopolsce zbliżona do Str. Pracy demokratyczna młodzież „Jedności" i Wielkopolski Związek Młodzieży Wiejskiej — oraz przedstawiciele Stronnictwa Ludowego (prez. Mikołajczyk) i Stronnictwa Pracy. W Katowicach zaś wycieczka odwiedziła redakcję tamtejszego organu Str. Pracy, katolicko - demokratycznej „Polonii". W ten sposób pobyt młodzieży czechosłowackiej w naszym kraju stał się doniosłą manifestacją przyjaźni obu bratnich narodów, manifestacją, w której ze strony polskiej wzięły udział wszystkie demokratyczne i prawdziwie patriotyczne odłamy naszego społeczeństwa. Oparta na wspólnej wolnościowej i demokratycznej tradycji, podyktowana wspólnym interesem politycznym, braterska przyjaźń obu narodów napewno wytrzyma próbę dziejową, napewno oprze się naporowi hitleryzmu i jego mitteleuropejskich entuzjastów w Polsce. Tego wymaga sprawa całości i niepodległości naszej Rzeczypospolitej w nie mniejszym stopniu, niż sprawa całości i niepodległości Republiki Czechosłowackiej.

Dla czego upadła szlachecka Rzplita?

Wielu historyków zastanawiało się i toczyło długie spory nad przyczynami upadku dawnej szlacheckiej Rzeczpospolitej. Widzieli je jedni w słabości władzy wykonawczej, inni w potwornym egoiźmie klasowym szlachty, trzeci znów w korupcji, która jak rak toczyła przez ostatnich lat kilkadziesiąt organizm państwa. Ale przyczynę istotną, prawdziwą odkrył dopiero teraz, w roku Pańskim 1938 — któżby inny jak nie słynny „Rycerz Niepokalanej"! Oto szlachecką Rzeczpospolitą zgubiła „żywa pornografia", „sprośne dowcipy towarzyskie" i „wyzywające obnażanie kobiet bezwstydnych". Tako rzecze pewien inżynier (tak jest, inżynier) w sierpniowym organie Ojców z Niepokalanowa.

Dosłownie: „Rozwojowi tego rodzaju pornografii na ziemiach naszych zawdzięcza dawna Rzplita swój upadek; że przytoczę tylko dwa fakty: omdlenie w domu rodzicielskim na bezwstyd zgromadzonych biesiadników, stale poniewieranego za swą skromność św. młodzieniaszka Stanisława Kostki; a dalej, słowa Papieża Piusa IX wyrzeczone do Mickiewicza, że Polska słusznie cierpi za ...rozwody, a więc za łajdactwo".

Gdzie tu Rzym, gdzie Krym, co ma

piernik do wiatraka, co łączy omdlenie św. Stanisława Kostki z rozbiorami a słowa papieskie o rozwodach z pornografią i z polityką mocarstw zaborczych — p. inżynier raczy wiedzieć. I taki potworny stek nonsensów drukuje się w organie, który chlubi się nakładem największym w Polsce!

„Odruchy mas"

„Dziennik Ludowy" donosi, że w najbliższym czasie należy się spodziewać wznowienia „akcji pikietowej" na ulicach Warszawy. Podobno w sprawie tej już zapadły uchwały na naradach pomiędzy sztabem „Falangi", a władzami Związku Kupców Polskich. „Falanga" ma dostarczyć wypoczętych, po letnich wywczasach, kierowników akcji, Z.K.P. — niezbędnej „amunicji". Zdaje się, że w dzień zlotu Z.M.P. już odbyły się pierwsze, wstępne manewry falangowej armii...

Informacje te rzucają charakterystyczne światło na całą sztuczność antysemickiej psychozy, uporczywie narzucanej społeczeństwu przez endo-oenerowo-ozonowe czynniki. Bo proszę tylko zastanowić się: oto jest ruch, „ruch masowy i szeroki", jeśli wierzyć pismakom reakcyjnym, ruch, wybuchający raz po raz zaburzeniami na ulicach miast, który przycicha i znika odrazu — dlaczego? Bo synkowie pojechali do ojczystych folwarków — albo Jastarni, do Zakopanego nad morze, w góry na odpoczynek. A „ludowe", by tak rzec, elementy tego „ruchu"? Garstki bezrobotnych i lumpenproletariuszy, zaciągnięte tu i ówdzie do jego szeregów niewybredną demagogią? Okazuje się, wystarczyło zniknięcia tamtych, pańskich synków, chwilowego przyschnięcia źródeł gotówkowych, by i oni przycichli jakoś i stuszowali się. Bez zagrychy, widać, na antysemityzm nie ma „ludowych" amatorów.

W każdym razie dobrze jest stwierdzić jedno: jeśli na jesieni znowu dojdzie na ulicach naszych miast do „wystąpień", przynoszących nam wstyd i hańbę, to niech nikt nie powołuje się na „odruch mas". Wiemy już kto to robi. „Odruchy mas", to zwykła robota płatnych od godziny lub od dniówki, awanturników.

A propos: niech panowie Brunowie, dygnitarze Związku Kupców Polskich, nie zapomną posłać pikiet falangowych na Walne Zebranie Banku Zachodniego. Nie wypada przecież by się na tym Zebraniu bratali rdzenni „aryjczycy" Brunowie z niemniej rdzennymi „nie-aryjczykami" Rotwandami i nie chrzczonymi do dziś dnia Wawelbergami.

Opłata która nie pomogła

Kiedy p. wicepremier motywował w Sejmie ustawę o „antyspołecznej", jak sam ją nazwał, opłacie od przemiału chleba, pisaliśmy: istnieje inny środek, o wiele pewniejszy i bardziej społeczny dla powstrzymania nadmiernej podaży zboża: lekkie złagodzenie nacisku podatkowego. Wypadki, które nastąpiły w ostatnich kilku tygodniach, w pełni potwierdzają nasze zdanie.

Mimo uchwalenia opłat, mimo szerokiej reklamy, jaką radio i wszelkie inne urzędowe instytucje zrobiły „nowej polityce zbożowej" ceny zboża spadły. Spadły z 21 zł na około 15 zł za q, o przeszło 25%. Na wsi panuje głębokie rozgoryczenie i rozczarowanie.

Zwróćmy uwagę na kilka charakterystycznych aspektów całego zagadnienia: po pierwsze: zboże po niesłychanie niskiej cenie, która zresztą ulegnie szybkiej zwyżce za kilka tygodni, sprzedaje, rzecz jasna, tylko ten kto musi. A kto musi? Oczywista nie obszarnicy, chronieni moratorium, uchylający się notorycznie (urzędowe wykazy Ministerstwa Skarbu!) od płacenia na czas podatków, posiadający jeszcze spore rezerwy gotówkowe po bankach. Nie bogatsi chłopi, mający mimo wszelkich trudności pewne możliwości uzyskania kredytów, czy odroczeń. Zapłacą — stwierdza to ludowa „Gazeta Grudziądzka" — „ci najbiedniejsi, którzy muszą wyprzedawać zboże po najniższych cenach". A że ci najbiedniejsi nie sprzedają na handel, a tylko z konieczności, tylko na pokrycie bieżących płatności podatków czy kupienie już zupełnie niezbędnego surduta czy butów, to ci właśnie będą musieli sprzedać więcej. Przy cenie 20 zł sprzedaliby może 100.000 q, przy cenie 15 zł, sprzedać będą musieli, rzecz jasna, 133.000 q (liczby są oczywiście wzięte jedynie przykładowo, dla ilustracji stosunku). Skąd wezmą? Ano, zaczną jeść postne kartofle parę tygodni wcześniej, bo nadwyżek zboża przecież nie mają. Będzie więcej głodnych chłopskich dzieci i więcej taniego zboża, które trzeba będzie wyeksportować zagranicę, oczywista płacąc eksporterom premje. Przyznajemy, wolelibyśmy płacić premie za dożywianie głodnych chłopskich, polskich dzieci.

Zagadnienie drugie: „Gazeta Handlowa" zauważa słusznie: „Wyrzucane na rynek tanie zboże „ktoś" kupuje. „Organ gospodarczy" milczy dyskretnie, kto. Wyręczymy go pod tym względem. To zboże skupują masowo wielcy młynarze, wszech wyznań, Grandkowscy i Grasbergowie. Sprzedadzą je, kiedy podrożeje znowu. Będzie za co zbudować jeszcze parę kamienic. Choć i tak młynarstwo nie jest złym interesem. A konsument? Zboże spadło o 25%, chleb — o 2 gr na kg, czyli o mniej niż 5%. Ale gdyby tak ceny zboża wzrosły, jak szybko skakałaby w górę cena chleba!

Chcielibyśmy wiedzieć: czy doprawdy nie ma sposobu, by na „popieraniu rolnictwa" zyskiwali właśnie chłopi, i to przede wszystkim ta podstawowa warstwa „najbiedniejszych" a nie panowie obszarnicy i młynarze?

NIEUZASADNIONE PRETENSJE

Kiedy swego czasu p. wicepremier Kwiatkowski wygłosił mowę w Katowicach, „Nowa Rzeczpospolita" dopatrzyła się w tej mowie jakichś zapowiedzi, których w niej, jako żywo, nie było, zapowiedzi, o jakich p. wicepremier nic nie wiedział. Stawiała wtedy terminy, zapowiadała epokowe wydarzenia... Terminy minęły, wydarzenia nie nastąpiły. Zdawało się, że na tym pozostanie.

Ale, niestety, „Nowa Rzeczpospolita" jest uparta. Tym razem dzień „Czynu Chłopskiego" skłonił ją do odnowienia starych pretensji. Jakiś anonimowy działacz ludowy udzielił jej ponoć informacji, że „...dla nas chłopów to co p. Kwiatkowski mówił w Katowicach jest jak weksel... Czekamy, aż przyjdzie termin! Wierzymy, że go p. wicepremier do protestu nie dopuści".

Cała ta „wekslowo-protestowa" terminologia brzmi raczej „gospodarczo" niż ludowo. Panowie z Lewiatana lepiej rozumieją się na tych terminach od chłopów ze Stronnictwa Ludowego... Ale mniejsza o to. Ważniejsza jest strona faktyczna.

Żadnych weksli p. wicepremier w Katowicach nikomu, a już ludowcom chyba najmniej, nie wydawał. Żadnych terminów nie wyznaczał. Żadnych protestów więc nie ma powodu się obawiać, tak samo jak ludowcy do niego żadnych protestów zgłaszać nie będą. Tak przynajmniej słyszał każdy, kto ma uszy i rozumie po polsku, na wszystkich obchodach „Czynu Chłopskiego", jak Polska długa i szeroka.

Artykuł czołowego działacza ludowego, zamieszczony na pierwszym miejscu ostatniego zeszytu „Zwrotu" wyraźnie ostrzega przed liczeniem na takie czy inne zmiany „odgórne". Z wyrzutem, jakże słusznym, zwraca się jedynie do

„przywódców, władnących milionami najlepszych", przywódców, którzy również „swoje urzędy i posłannictwo chcą na niczym skończyć".

Autor artykułu w „Nowej Rzeczypospolitej" nie należy do tej kategorii chyba z jednej przyczyny: że nie ma tych „milionów najlepszych".

NACJONALIZM — ALE CZYJ?

Piękny lokal w Alejach Jerozolimskich. Biuro Techniczno - Handlowe. Na wystawie, gustownie urządzonej pyszni się napis: „Sprzedajemy tylko wyroby chrześcijańskie". Dumna proklamacja nacjonalizmu najnowszego endecko-oenerowo-ozonowego typu.

Nieco w tyle wystawy wykaz reprezentowanych firm. I tu — zaczyna się „niespodzianka". Na początku wykazu trzy firmy krajowe (w tym jedna o starosłowiańskim brzmieniu Krusche). A potem? Cytujemy dosłownie: J. E. Reinecker, A. G. Chemnitz, O. Wolpert Ludwigshafen, Keller & Knappich, Augsburg, Trebelwerk Düsseldorf, Auerbach & Scheibe A. G. Saalfeld, Blau & Co. Wien. Nasz nowoczesny nacjonalista nawet nie wie, że Düsseldorf wprawdzie także i po polsku nazywa się Düsseldorf, ale Chemnitz to już Kamienica, a Wien, to nasz stary Wiedeń, „Wideń", jak mawiają do dziś we Lwowie. Ale to ostatecznie szczegół.

Ciekawi nas zato bardzo rzecz inna. Nie uważamy, by import towarów niemieckich był z konieczności działalnością antypatriotyczną. Być może że spawarki punktowe firmy Keller & Knappich w Augsburgu są rzeczywiście doskonałe i potrzebne dla naszego przemysłu. Nie jesteśmy inżynierami. Ale chcielibyśmy wiedzieć jedno: od kiedyż to torowanie drogi niemieckiej ekspansji przemysłowej torowanie drogi eksportowi Trzeciej Rzeszy uchodzi za zasługę wobec **polskiego** nacjonalizmu? Czyżbyśmy mieli tu do czynienia ze zjawiskiem analogicznym do „eksportu ideowego", do podawania nam jako najnowszych produktów „polskiego nacjonalizmu", zlekka odleżałego ładunku „ideowego" („olle Kamellen" — określają to sceptyczni do dziś Berlińczycy) pp. Goebbelsa i Streichera?

WIĘCEJ HOŁDÓW!

Zgoła niespodziewanie padło słowo prawdy o gen. Franco ze strony, której w żadnym razie nie można posądzić o zapamiętałą, ślepą nienawiść wobec rebelii hiszpańskiej. To słowo prawdy, acz wstydliwe i nieśmiałe, padło właśnie z łam konserwatywnego „Czasu".

Czytelnik, któremu kazano czcić, miłować i podziwiać gen. Franco jako męża opatrznościowego, posłannika i obrońcę wiary katolickiej, — dowie się nareszcie, że ten krwawy pogromca własnej ojczyzny nie jest orędownikiem kościoła. Oto, co „Czas" podaje między innymi w artykule p. t. „Generał Franco a kościół katolicki": „Występują tu (w Hiszpanii narodowej) na jaw ujemne cechy rządów totalistycznych w stosunku do Kościoła. A więc naprzód tendencja monopolistyczna na korzyść partii rządzącej, wskutek czego los organizacyj katolickich jest poważnie zagrożony, spotka je zapewne dola analogicznych stowarzyszeń w Niemczech i Włoszech. Dalej swoboda władz kościelnych i opinii katolickiej bywa mocno ograniczona. Np nie wolno wspominać ani słowem o prześladowaniu katolików w Niemczech, nie pozwolono zamieścić bulli papieskich przeciw hitleryzmowi „Mit brennender Sorge" nawet w oficjalnych czasopismach kościelnych, choćby w streszczeniu. Następnie skrajny nacjonalizm falangistów dał się dobrze we znaki katolikom baskijskim. Jak wiadomo, znaczna część Basków stanęła ze względów narodowych po stronie rządowej pomimo swych szczerych przekonań katolickich".

Po stwierdzeniu więc cennej prawdy, że Baskowie ze względów narodowych stanęli po stronie Republiki, dalej dowiadujemy się, że gen. Franco posłannik wiary katolickiej i krucjator „bezbożnictwa" znaczy swój pochód krwią i męką... czyją? księży katolickich: „Po zdobyciu kraju Basków przez gen. Franco, nastały nowe represje, które zwróciły się przeciw katolikom baskijskim, a nawet dość licznym członkom kleru, w samej diecezji Vitoria 5 księży zostało rozstrzelanych, 137 skazano na więzienie, 263 na wygnanie, a 300 przeniesiona za karę na gorsze stanowiska. Co więcej, naruszono naturalne prawo wiernych do słuchania słowa Bożego w mowie ojczystej. W kraju Basków duchowieństwo prawiło od wieków kazania w języku miejscowej ludności. To też administrator apostolski diecezji Vitoria msgr. Lauruzica był w zupełnej zgodzie z prawem kanonicznym, gdy polecił przestrzeganie nadal powyższego zwyczaju. Innego jednak zdania był minister porządku publicznego, gen. Martinez Anido, który zakazał używać w kazaniach mowy baskijskiej, a gdy biskup podtrzymywał swoje stanowisko, musiał pójść na wygnanie do Sevilli".

Piętnując ujemne objawy w życiu katolickim po stronie rebelii, katolicki „Czas" stwierdza, że „polityka zajmuje dużo miejsca w kazaniach, niektórzy księża posuwają swój zapał tak daleko, że z bronią w ręku biorą czynny udział w akcji wojennej". Ale są i „inne smutne objawy w stosunkach moralnych Hiszpanii narodowej, jako to okrutny i bezwzględny sposób prowadzenia wojny, który nie jest monopolem czerwonych, lecz, niestety, występuje również po stronie powstańców. Gorszym jeszcze może od okrucieństwa wojennego na froncie jest okrucieństwo stosowane na zimno wobec pokonanych przeciwników. Taki np. bardzo przykry wypadek zaszedł na wiosnę br., gdy rozstrzelano w Burgos wybitnego, katalońskiego działacza katolickiego, Manuela Carrasco Formiguera. Był on niewątpliwie ideowym przeciwnikiem rządu gen. Franco, ale nie uczestniczył w walkach orężnych; ujęto go na morzu w drodze do Francji, postawiono przed sąd wojenny, skazano na śmierć i nie ułaskawiono, bez względu na wielkie zasługi, które położył dla sprawy Kościoła w Hiszpanii za rządów republikańskich, pomimo wstawiennictwa za nim ze strony papieża, rządu angielskiego i wielu innych wysoko postawionych osobistości. Umarł prawdziwie po chrześcijańsku, przebaczając swym prześladowcom".

Stąd wypływa morał w tym sposobie: że krwawy dobrodziej, wyposażony przez wszystkie żywioły mroku w cnoty ewangieliczne i pasowany z pompą na rycerza wiary, tępi niewygodnych katolików tak samo bezlitośnie i metodycznie, jak to czynią jego mocodawcy i pobratymcy w innych dzielnicach dzikiego Zachodu. W uznaniu tych niespożytych zasług nasza hitlerofilska prasa, mieniąca się także „katolicką" powinna oprócz wszelkich dotychczasowych międzynarodowych objawów hołdu i deszczu depesz gratulacyjnych wybić na cześć gen. Franco polski order Podwiązki ks. Trzeciaka.

WYBACZONO MU POCHODZENIE...

W tym samym czasie, gdy we Włoszech zaprowadzono rasizm i przystąpiono do „odżydzania" życia narodowego, reżimowy Żyd, marszałek Balbo, wielkorządca Libii i usmiritiel tamtejszej semicko - chamickiej ludności, udał się w ważnej misji politycznej do Niemiec, gdzie konferował m. in z marszałkiem Goeringiem. Tu rasa nie stanęła na przeszkodzie. Nie darmo p. Goering oświadczył kiedyś: „Wer Arier ist, entscheide ich" — „kto jest aryjczykiem, o tym ja decyduję". I marsz. Balbo został widocznie uznany za aryjczyka, skoro wysłanie go do Niemiec jako reprezentanta Mussoliniego nie było przez sterników Trzeciej Rzeszy poczytane za zniewagę. Bo marsz. Balbo należy do tych — protegowanych i u nas — „poszczególnych jednostek pochodzenia żydowskiego", którym wybacza się semicką krew, gdy tylko robią dobrą „narodową" robotę. A pod tym względem nie da się marszałkowi Balbo nic zarzucić.

Najnowsze książki

Helena Boguszewska

„ANIELCIA I ŻYCIE“

Powieść radiowa

Warszawa, 1938. Tow. Wydawnicze Rój.

Jakaś Anielcia, jedna z wielu tysięcy — kobieta pracująca. Spotkać ją można w zapadłym kącie prowincji i w dużym mieście... W pociągu i w tramwaju, gdy śpieszy przed ósmą ospałym rankiem do pracy.

Myśli o swoich sprawach. Może o chorym dziecku, może o podwyżce czy trzynastej pensji, albo o jakiejś Stefanii podkopującej się na jej miejsce w biurze... czy o innym szczególe, zawsze jednym z wielu, z których składa się jej życie. Nie jakieś bohaterskie, znaczone wielkimi czynami, ale takie sobie, zwykłe życie, z dnia na dzień — bez „żadnych nadzwyczajności“.

Wyszła gdzieś tam z jakiejś pensji, gdzie była jedną z najzdolniejszych, śmiała się beztrosko, deklamowała... I zaraz po tym weszła w życie... To wejście było wejściem w roli urzędniczki do biura, w którym ugrzęzła... Przestała się też śmiać jak przedtem — „chyba czasami jeszcze“ gdyż miała jednak szczęśliwe usposobienie, przy którym zapomina się szybko o przykrościach.

I tak wśród pracy w oparach entuzjazmu skraplającego się na łamach jakiegoś „Społecznika“, wśród trosk o nową kołdrę i włosie do materaca, naiwna wciąż jeszcze Anielcia, która sama dobrze nie wie o co jej chodzi i którą każdy może wystrychnąć na dudka — budzi się nagle i spostrzega swą samotność.

„Widzi że lata nie czekają tylko sobie idą“ — i naraz chce zmienić natychmiast swoje życie i siebie samą. Zająć pewną postawę wobec życia, szukać w nim „wartości tak zwanych realnych a nie dorabiać go marzeniami“.

I oto w jakąś sylwestrową noc zmieni się w platynową Nelli, w innego człowieka zwycięsko walczącego z życiem.

Cóż... „Dawniej dla wszystkich kobiet mężowie byli wszystkim, ale dzisiaj“... Dla takiej jak ona wszystkim jest praca, stanowisko, samodzielność. To nie Gienia, która szczęście widzi tylko w mężu, to nawet nie Aniela, ale nowoczesna Nelli — pani kierowniczka, spokojna, opanowana, wyzbyta entuzjazmu.

A gdy utraci to co jest wszystkim, cóż wtedy? — chyba śmierć była by najlepszym zakończeniem...

Ale nie, ona będzie żyć dalej, zatrze się w niej wspomnienie dnia pożegnania, kiedy to stanowisko jej ostatecznie zajęte zostało przez jakąś Stefanię. Sprawy biblioteki którymi się szczerze przejmie, staną się narówni ważne, gdyż będą teraźniejszością.

Bo człowiek „zawsze może znowu uwierzyć“ może znów zacząć „świadomie tworzyć nadzwyczajności... To jest magiczna sztuka życia... że jedno się zapada, drugie się rozrasta na tym samym miejscu... Nowi ludzie, nowe sprawy, nowa praca, spotkania i rozstania... Jakby za tamtym co minęło zapadł już nawet żal“.

Jest to jedna ze szczęśliwych stron psychiki ludzkiej, którą tak przejrzyście i zwięźle ujęła i oświetliła Boguszewska, odzwierciadlając wewnętrzne przeżycia Anielci i jej stanowisko wobec spraw i zjawisk życia współczesnego.

Szare życie, szarych ludzi — takie same było tło powieści Kuncewiczowej „Państwo Kowalscy“, która miała to samo przeznaczenie i tę samą formę — krótkich dialogów poprzetykanych tekstem narracyjnym... „Anielcia i życie“ ma ponadto prawie że dotykalnie uwypuklony problem psychologiczny. Ciężar właściwy po wydrukowaniu tej powieści mówionej przesunął się z dialogu na narrację, która ze względów radiofonicznych tak zręcznie skrócona nie psuje jednak ogólnej konstrukcji.

N. WIŚNIEWSKA

WARSZAWA WCZORAJ I DZIŚ

Zbiorowym nakładem „Naszej Księgarni“ Związku Nauczycielstwa Polskiego, „Roju“ i wyd. J. Mortkowicza ukazało się dzieło redagowane przez Stefanię Sempołowską pt. „Warszawa wczoraj i dziś“. Jest to pierwsza część obliczonej na dwa tomy pracy zbiorowej mającej ująć całokształt wiadomości o stolicy Polski. „Warszawa — pisze we wstępie Stefania Sempołowska — wielkie miasto, miasto stołeczne, jak żadne inne miasto w Rzeczypospolitej Polskiej daje możność wglądnięcia w tajniki wielu zagadnień życia współczesnego“. Punkt wyjścia niewątpliwie słuszny. Od dwu wieków conajmniej w Warszawie skupiają się nici najważniejszych wydarzeń, jej dzieje pokrywają się częstokroć z dziejami kraju, tutaj rodziły się prądy mające wycisnąć piętno na życiu Polski, tutaj wreszcie tkwiło źródło większości ruchów wyzwoleńczych, niepodległościowych.

Tak jak w stosunku do przeszłości znajomość dziejów Warszawy wyświetli nam wiele kart historii, tak i współcześnie rozumienie jej struktury społecznej, jej wewnętrznego życia stanowić będzie ważny komentarz do wielu współczesnych prądów i wydarzeń.

Dzieło Stefanii Sempołowskiej wypełni poważną lukę w naszym piśmiennictwie, któremu brak było takiego właśnie encyklopedycznego wydawnictwa. Wszystkie te dane trzeba było dotąd zbierać z różnych źródeł, niezawsze nawet dostępnych. Trzeba jednak podkreślić, że mimo encyklopedycznego charakteru „Warszawa wczoraj i dziś“ daleko odbiega od suchej formy notatek encyklopedii. Słusznie zastąpiono je żywym i barwnym opisem lub obrazem historycznym takich piór jak Józefa Piłsudskiego czy Maurycego Mochnackiego.

Tom pierwszy obejmuje dział geograficzny (wraz z geologią i meteorologią), historyczny oraz dane o ludności Warszawy. Najobszerniej potraktowany został dział historyczny. Od prahistorii śledzimy losy dzisiejszej Warszawy, obserwujemy, jak stopniowo przenosi się tutaj ośrodek losów kraju. Już od końca XVIII w. Warszawa jako największe skupisko ludności staje się motorem walk o unowocześnienie Polski, później jest kuźnicą ruchów powstańczych i rewolucyjnych a wreszcie w r. 1918 najwydatniejszy bierze udział w kształtowaniu młodego Państwa Polskiego. Okresy walk rewolucyjnych od 1863 r. zwłaszcza zaś lata 1904—6 zostały szczególnie szeroko potraktowane. Wydaje się to ze wszechmiar uzasadnione: tam tkwi genealogia Polski odrodzonej, z drugiej zaś strony nikt nie jest bardziej powołany do przedstawienia tego okresu, niż Stefania Sempołowska, jedna z najzasłużeńszych bojowniczek o niepodległość. Kronika ruchów masowych ujmująca najważniejsze wydarzenia w krótkie streszczenie, rodzaj tabeli synchronicznej, jest eksperymentem całkowicie

udanym. Zwięzłość ujęcia potęguje dramatyczną wymowę faktów, wywołuje u czytelnika napięcie, jakiego nie osiągnęłyby najobszerniejsze opisy. Odnosi się to szczególnie do okresu 1904—6 opracowanego przez wybitnego znawcę tych czasów p. Żanetę Korman.

Wiele skojarzeń budzić dziś muszą przypominane fakty z niedawnej przeszłości, wiele doświadczeń wyciągnąć można z dziejów pierwszych dni po odzyskaniu niepodległości — to też książka ta jest nie tylko niezbędnym informatorem — jest przez swoją aktualną wymowę dokumentem społecznym.

Dzięki tym walorom zasięg dzieła redagowanego przez St. Sempołowską będzie niewątpliwie szeroki. Korzystać z niego będą nie tylko nauczyciele, dla których głównie zostało przeznaczone, trafi ono na pewno do rąk wszystkich, którzy związani są z życiem społecznym kraju, którzy interesują się jego przeszłością.

W. K. B.

Z DNI LISTOPADOWYCH

Z książki powyższej wyjmujemy zapomnianą kartę z niedawnej przeszłości, z wielkich dni listopadowych 1918 r., dającą wyobrażenie o wartości dokumentalnej i literackiej „Warszawy wczoraj i dziś":

„W nocy z dnia 10 na 11 listopada w życiu politycznym Warszawy ujawniła się nowo zorganizowana siła: Niemiecka Rada Żołnierska. Odegrała ona w tym momencie przełomowym niemałą rolę, wpłynęła na bieg wypadków politycznych w dnie listopadowe Warszawy.

Na ziemiach polskich stała armia niemiecka, licząca około 125.000 ludzi uzbrojonych, złożona z dzieci ludu pracującego wsi i miast niemieckich. Pod wpływem wieści, przychodzących z Niemiec, armia ta, wśród której panowało pełne goryczy niezadowolenie, uległa nagłemu zrewoltowaniu. Od dawna pragnęła końca wojny, pragnęła wracać do Niemiec.

W drodze do ojczyzny musiała przejść przez ziemie polskie. Łatwo mogła przejść przez Polskę jako siła niszcząca. Trzeba było silnej woli, umiejętności organizacyjnej, aby siłę tę uczynić dla nas nie niebezpieczną.

W początkach listopada wszystkie prawie oddziały niemieckie stacjonujące w Polsce omawiały kwestię ustosunkowania się do rewolucji, która ogarniała już całe Niemcy. Wszędzie prawie zapadały uchwały tworzenia Rad Żołnierskich, zrywających związek z dotychczasowymi swoimi władzami. Wśród garnizonu warszawskiego ferment rósł i wrzał, a ze stolicy rozszerzał się szybko po całym kraju.

Dnia 8 listopada powstają pierwsze Rady, a dnia 10 — 11 szereg oddzielnych Rad łączy się i tworzy jedną ogólnożołnierską Radę. Przyjezdni z Niemiec żołnierze-rewolucjoniści szerzą propagandę rewolucyjną, pomagają organizować te Rady.

Nowo powstała niemiecka organizacja żołnierska przeciwstawia się dotychczasowym władzom wojskowym. W Warszawie stają obok siebie dwie władze niemieckie: jedna okupacyjna z opuszczonym przez swoich Beselerem i Glasenappem na czele, a obok — nie uznająca ich zwierzchności, porozumiewająca się z Rządem Rewolucyjnym w Berlinie: Rada Żołnierska (Soldaten Rath), której przewodniczący objął dowództwo nad rewolucyjnymi oddziałami. Zrewolucjonizowani żołnierze chcą zawarcia pokoju, opuszczenia okupowanych terenów, powrotu do Niemiec, przeobrażenia życia społecznego w ojczyźnie; dla osiągnięcia tych celów chwytają w swe ręce władzę nad armią.

Większość garnizonu warszawskiego była zrewolucjonizowana.*).

Łatwo i chętnie pozwalali się rozbrajać. Do swych mundurów polowych przypinali czerwone kokardy, wyjątkowo tylko na piersiach oficerów można było widzieć oznaki i barwy cesarskie.

Beseler z okien Zamku, w którym siedział prawie samotnie — widział przeciągające przez ulice oddziałki wojskowe, żołnierzy w mundurach niemieckich z czerwonymi, białoczerwonymi lub trójkolorowymi kokardami i chorągwiami, słyszał okrzyki wznoszone na cześć Polski, Francji, przeciwko Niemcom, byli to żołnierze podległej mu tak niedawno armii niemieckiej: Polacy, Alzatczycy... i Niemcy.

Wśród żołnierzy widać było i oficerów, publicznie bratających się ze zrewolucjonizowanymi żołnierzami. Kierownicy niemieckiego ruchu żołnierskiego szukali porozumienia ze społeczeństwem polskim, z jego radykalnymi ugrupowaniami (P. P. S.). Patrzano na nich bez nienawiści i oni bez nienawiści patrzyli nie tylko na cywilną ludność, ale i na nową armię noszącą polskie barwy, na uzbrojonych doraźnie (często w broń niemiecką) nowych żołnierzy.

Nikt już nie pragnął krwi ani mordów. Przeciwnie, można powiedzieć, że Niemcy zorganizowani w Rady żołnierskie i Polacy, staczający walkę o swą niepodległość, wierzyli, że „ludzie wolni braćmi są", rozumieli i szanowali się wzajemnie.

Bardzo charakterystyczne dla tych stosunków są dwa dokumenty: Odezwa Rady Żołnierskiej Niemieckiej. (pisana lichą polszczyzną).

„Do Towarzyszy Niemieckich i Polaków.

— Żołnierze niemieccy stworzyli w Warszawie Radę Żołnierską, reprezentację wszystkich batalionów. Rokowania z Komendantem Piłsudskim są w toku. Celem naszym jest pozostawanie w zgodzie z ludnością polską. Żołnierze niemieccy nie są i nie będą wrogami tej ludności. Nie będą się wtrącać do politycznych spraw Polaków. Odjazd ma nastąpić w miarę jak pozwolą na to warunki transportowe.

Członkowie Rady potępiają najbardziej stanowczo wszelkie przelewanie krwi. Za wiele krwi polskiej i innej wsiąkło w ziemię. Dość nędzy przyniosła wojna wszystkim narodom. Będą się starali uniknąć walki pomiędzy Polakami i Niemcami. Ludność polska powinna sama rozstrzygnąć i los swój we własne ująć ręce.

My, delegaci Rady Żołnierskiej nie mamy powodu popierania zarządzeń dawnego Rządu niemieckiego. Wejdziemy w porozumienie z naszym rządem obecnym, by ten transport przeprowadzić bez szkód dla ludności polskiej. Żywimy nadzieję, że ostatni cios uderzył w militaryzm. Nowe czasy nastają. Jutrzenka rozsądku świta. Z naszych ognisk w ojczyźnie bije blask wolności. Niemcy są krajem neutralnym i pozostaną neutralnymi. Pragnienie swobody politycznej, praw obywatelskich przepełnia nasze serca.

Z czcią głęboką powitała załoga niemiecka walkę narodu polskiego o wolność. Życzymy jej pomyślnych wyników. Niech żyje walka o wolność Polski. (Potem następuje wezwanie do karności i utrzymania porządku wewnętrznego wśród swoich szeregów).

— Polacy, towarzysze, wzajemne zaufanie jest nieodzowne... Kart dziejowych nie powinna splamić

---

*) Tylko Cytadela Warszawska była w rękach oddziałów, które uważały, że honor żołnierski nie pozwala im poddać się Polakom, oddać broni. Około 8.000 ludzi stało tam gotowych do walki.

krew bratnia tych, co jedną myślą owiani zarówno pragną wolności. Niemiecka Rada Żołnierska w Warszawie".

Z drugiej strony artykuł drukowany dn. 12.XI w socjalistycznym „Robotniku" (W sprawie żołnierzy niemieckich) daje nam wyobrażenie o stosunku radykalnej ludności polskiej do Rad Żołnierskich niemieckich:

„Nie ma już w stolicy Polski żołdaków okupacyjnych, są żołnierze rewolucyjnej armii wolnych Niemiec. W niedzielę żołnierze niemieccy w Warszawie przystąpili do wyboru Rad Żołnierskich. Stoją na tym stanowisku, że nie dadzą się więcej użyć do jakichkolwiek wystąpień przeciw ludności miejscowej. Jedynym ich pragnieniem jest jak najrychlejszy powrót do domu. Przeszło trzyletni okres okupacyjnych rządów, w ciągu którego żołnierze niemieccy byli ślepym narzędziem swych militarystyczno-burżuazyjnych rządów, sprawił, że ludność Warszawy nie umie na ogół wzbudzić w sobie zaufania do przeobrażonych przez rewolucję żołnierzy"....

Nowe dowództwo armii niemieckiej, komendant Rady rozglądał się wśród społeczeństwa polskiego za kimś, komu by mógł zaufać i który byłby władny i mocen zabezpieczyć los żołnierzy niemieckich, chcących w spokoju i bezpieczeństwie powrócić do ojczyzny.

W nocy z 10 na 11 listopada kilku delegatów Rady Żołnierskiej zwróciło się do Piłsudskiego, nie piastującego oficjalnie żadnego urzędu, ale dla organizacji żołnierzy niemieckich mającego pewien autorytet. Wysłańcy Soldaten Rathu przybyli nocą do mieszkania Piłsudskiego, poddając się pod jego rozkazy, żądając od niego gwarancji bezpieczeństwa dla szeregów niemieckich i swobodnego wyjazdu do ojczyzny, oświadczyli jednocześnie, że o ile Piłsudski nie może im tego zapewnić — będą zmuszeni siłą otwierać sobie drogę przez Polskę do Niemiec.

Przed daniem odpowiedzi Piłsudski zapytał, czy oddadzą do jego rozporządzenia na terenie od nich zależnym: broń, lokomotywy, wagony, cały tabor kolejowy, łączność telegraficzną dla rozmów i depesz. Spotkał wahanie tylko co do broni.

Aby zorientować się dobrze w warunkach i podejmowanych zobowiązaniach, Piłsudski chciał odłożyć odpowiedź, ale delegaci oświadczyli, że dłużej czekać nie mogą, jak do ranka dnia następnego.

Tabor kolejowy miał dla powstającego państwa olbrzymią wartość: z drugiej strony myśl o przemarszu przez ziemie polskie armii Ober-Ostu była groźna. Piłsudski zdecydował się podjąć rokowania, mianując jako oficera łącznikowego Ignacego Boernera (legionistę, władającego doskonale językiem niemieckim) i wyznaczył wartę ochronną dla lokalu Rady.

Nazajutrz dnia 11 listopada wezwał Piłsudski rano Boernera do gmachu gubernatorskiego, który stanowił lokal Rady Żołnierskiej; gmach pełen był niemieckich żołnierzy i oficerów.

Przed gmachem stał tłum niespokojny. Zdawało się, iż chce się wedrzeć do sali. Wstrzymywała go tylko obecność na sali Piłsudskiego.

Piłsudski wstąpił na wzniesienie-mównicę. Wśród zupełnej ciszy padały jego mocne, krótkie słowa. Wzywał zgromadzonych żołnierzy do bezwarunkowego posłuszeństwa swej nowej władzy: Radzie Żołnierskiej. Tylko wtedy uda im się spokojnie i szczęśliwie wrócić do kraju. Naród polski nie pożąda na nich zemsty za winy rządu niemieckiego. „Ani jednej kropli krwi więcej". Jeżeli nie będą prowokować ludności polskiej, zapewnia im bezpieczny powrót do ojczyzny.

Wychodząc z gmachu zwrócił się do stojącego zewnątrz tłumu polskiego oświadczając, że w imieniu narodu polskiego wziął Niemiecką Radę Żołnierską pod opiekę i zobowiązał się, że nikomu z nich nie stanie się najmniejsza krzywda.

Po czym kazał wyjść z tłumu akademikom — było ich około 30 — i oddał jako straż pod dowództwo Boernera, którego uczynił osobiście odpowiedzialnym za całość gmachu i bezpieczeństwo ludzi.

Boerner zażądał od Rady Żołnierskiej karabinów dla uzbrojenia tego oddziału ochronnego". (Str. 177 — 181).

Sztuka - to nie protokół dyplomatyczny

Piszący te słowa nie jest fachowcem w sprawach plastyki. Sądzi jednak, że tam, gdzie rozważane są teoretyczne problemy sztuki, tam nawet, gdzie rozważania te należy dopiero sprowokować, wolno prosić o głos.

Oto bowiem niedawno z peryferii Warszawy, ze Spółdzielni Mieszkaniowej na Rakowcu przeniesiono do śródmieścia (Związek Pracowników Użyteczności Publicznej, Warecka 7) Wystawę Sztuki Społecznej. Uczestniczący w niej artyści zaprezentowali się bezsprzecznie interesująco: Bronisław Linke ze swym znanym i przez prasę już omawianym cyklem „Śląsk"; Franciszek Parecki ze znaczną częścią swych dawniej już — głównie w „Szpilkach" — opublikowanych satyr rysunkowych; Bobowski, Krajewski, Malarewicz, Minorski, Wasilewski, Krzeczanowski i Herman — ze swą twórczością malarską, rysunkową, drzeworytniczą i fotograficzną, której głównym tematem jest życie powszednie oraz walka o lepsze jutro rzesz pracujących. Tezy ideologiczne tej grupy artystów przytaczamy za katalogiem ich pierwszej wystawy zbiorowej, urządzonej dwa lata temu w Spółdzielni Mieszkaniowej „Szklane Domy" na Żoliborzu:

1. Grupa pragnie dać plastyczny wyraz ideałom i dążeniom świata pracy.

2. Grupa przeciwstawia się hasłu „sztuka dla sztuki" oraz usiłowaniom reakcji podporządkowania sztuki swoim celom.

3. Grupa wysuwa postulat sztuki tematycznej.

4. Grupa pragnie, z punktu widzenia świata pracy, dać plastyczną *charakterystykę całej współczesnej rzeczywistości.*

5. Grupa uznaje konieczność dążenia do jaknajszerzej pojętego realizmu. Technikę plastyczną podporządkowuje tematowi.

Wystawa spotkała się z zasłużonym i gorącym przyjęciem u ogółu robotniczego i pracowniczego; ilość

zwiedzających wystawę sięga tysięcy. Prasa raczej milczy lub zbywa to ważne wydarzenie społeczno - artystyczne zdawkowymi, lakonicznymi uwagami.

Natomiast ożywiona dyskusja ustna toczy się „za kulisami", w sferach lewicy artystycznej. Przyczyny, dla których jej uczestnicy wolą nie udostępniać jej ogółowi za pośrednictwem prasy są rozmaite. Plastycy naogół pisać nie lubią. Na to, by „chwycić za pióro", potrzeba już okoliczności całkiem nadzwyczajnych. W danym wypadku, jak się zdaje, działają nawet specjalne hamulce: najopaczniej rozumiana lojalność, chęć zapobieżenia temu, aby do „świata" nie dotarły wieści o nurtujących lewicę artystyczną rozbieżnościach. Nie jest to przejaw, jakiego by sobie należało życzyć ze względu na pomyślny rozwój naszej kultury artystycznej. Dobro sprawy wymaga jej kompletnej jawności. Niniejszym pragniemy temu oczywistemu postulatowi uczynić zadość.

A więc dyskusja ta ma już swą historię. Zaczęła się jakieś trzy lata temu, zdaje się w związku z pierwszą wystawą Zygmunta Bobowskiego w Warszawie, a może wywołała ją wzrastająca popularność twórczości Bronisława Linkego. Sprzeciw zasadniczy zgłosiły dwa środowiska: krakowscy Kapiści (kontynuatorzy problematyki kolorystycznej malarstwa francuskiego) oraz niektórzy spośród ostatnich mohikanów silnego ongi kierunku sztuki abstrakcyjnej. Toczyła się dalej, a nawet doszło do generalnej wymiany zdań (znów ustnej), gdy pierwsza zbiorowa wystawa tematowców warszawskich przeniesiona została z Warszawy do Krakowa, gdzie znalazła gościnę w lokalu TUR,a. Obecnie dyskusja została wznowiona. Pragniemy ją naprzód obiektywnie zreferować.

O co oponentom chodzi? Zarzut pierwszy brzmi tak: Tetamatowcy warszawscy uprawiają *akademizm,* są tradycjonalistami. Socjalizm dąży do fundamentalnego przeobrażenia oblicza świata, jest prądem nawskroś nowatorskim; tymczasem ci, którzy pragną współdziałać z socjalizmem na odcinku sztuki, nie wnoszą nowych wartości artystycznych, lecz trwają w niewoli u metod twórczych zbanalizowanych do cna, a więc skazanych na zagładę.

Zarzut ten występuje w dwóch odmianach. Jedni więc, w zasadzie godząc się na hasło tematowości (aby sztuka socjalizmu opisywała współczesność pod kątem walk wolnościowych) mają to za złe tematowcom warszawskim, że typy ludowe na ich obrazach tak wyglądają, jakby je skopiowano z płócien najgorszych, najmniej mających sztuce do powiedzenia mistrzów muzealnych. Krytyków nie udobruchało by zresztą kopiowanie autentycznych bodaj arcydzieł. Powiadają oni: malujcie sobie demonstracje pierwszomajowe, nie mamy zupełnie nic przeciwko temu, ale komponujcie swe obrazy tak, jak tego żaden jeszcze kierunek artystyczny nie robił; sprawa społeczna, którą waszym czynem artystycznym wesprzeć chcecie, winna wam służyć za wzór, jak to się zrywa definitywnie z przeszłością. Drudzy zaś utrzymują, że sama już tematowość jest przeżytkiem mieszczańskim, że lud musi się tego tradycyjnego balastu ze swej sztuki za wszelką cenę wyzbyć.

Następny zarzut, płynący ze sfer raczej literackich, hołdujących marksistowskiej teorii kultury, da się ująć tak. Tematowcy warszawscy, spowodu nie przemyślenia do końca pewnych problemów społecznych, dzięki ograniczoności kręgu ich doświadczeń i obserwacji, nie umieją odtwarzać rzeczywistości społecznej w sposób pełny. Uciekają się bądź do uproszczeń alegorycznych, bądź do szablonów agitkowych, bądź wreszcie, nie mogąc uporać się z dynamiką i wielokształtnością życia społecznego, dają jego fragmentaryczne i stężałe w bezruchu wycinki. Ponadto jedni i drudzy, bynajmniej nie odmawiając tematowcom talentu, sądzą, iż czeka ich jeszcze długa i mozolna droga, zanim dotrą do pełni dojrzałości artystycznej.

Tematowcy warszawscy zaś z całą słodyczą znamienną dla ludzi spokojnych o jutro swej twórczości — przyjmując diagnozę niedojrzałości i przyrzekając usilną nad sobą pracę, przeciwko zarzutom zasadniczym bronią się całym arsenałem wysokiej jakości argumentów, zasługujących na baczne przemyślenie.

Sprowadzają się one do *postulatu dziedzictwa kulturalnego.*

Kultura — powiadają oni — to, w ostatecznym wyniku, ciągłość. Socjalizm wcale nie dąży do zniszczenia zdobyczy technicznych, naukowych i artystycznych epoki burżuazyjnej, lecz do tego, by je — w najistotniejszym tego słowa znaczeniu — *uspołecznić.* Sam marksizm nie narodził się z ducha czystej negacji, lecz jest twórczą kontynuacją klasycznej filozofii niemieckiej, klasycznej ekonomii angielskiej i klasycznego utopijnego socjalizmu francuskiego. Nowa kultura, wyrzekająca się całkowicie dawnej, nie jest kulturą lecz barbarzyństwem. Własny pępek nie jest żadnym źródłem kulturotwórczym. *Wszelkie twory kultury — to formy poznania i opanowywania rzeczywistości obiektywnej.* Poznawano rzeczywistość wczoraj, poznaje się ją i dziś, będzie się ją poznawało jutro. Nie wolno mówić, że wczoraj poznawano ją kłamliwie a dziś prawdziwie, lecz że wczoraj mniej dokładnie niż dziś, a dziś mniej dokładnie niż jutro. Jeżeli pragnę kogoś zdystantować, muszę wpierw przebiec akurat tę drogę co i tamten a ponadto jeszcze kawałek naprzód. Przyswajając sobie kulturę przeszłości, odrabiam ją w tempie przyśpieszonym — i teraz dopiero rozwarły się przede mną wrota dnia jutrzejszego. Mogę być mistrzem samodzielnym wprzód solidnie poterminowawszy; „wyzwoliny" następują po okresie czeladnictwa, nie zaś na odwrót.

To wszystko, po odpowiednim zacieśnieniu kręgu rozważań, da się przenieść na grunt sztuki, która też nie jest niczym innym, niż specyficzną formą poznania i opanowywania rzeczywistości obiektywnej. Twórcy epok minionych nagromadzili kapitał doświadczeń, kapitał uogólnień artystycznych, schematów kompozycyjnych, kolorystycznych i fakturowych — wszystko w odpowiedzi na pytanie: jaka właściwie jest ta odtwarzana przeze mnie rzeczywistość; tych zasobów zignorować nam nie wolno. Nie jesteśmy tradycjonalistami, ale właśnie dlatego że nimi nie jesteśmy nie możemy negować tradycji. Cywilizacja techniczna, którą w przyszłości ofiarujemy ludowi, będzie zsumowaniem zdobyczy całych dziejów ludzkości: taką też niechaj będzie nasza sztuka. I wyzbądźcie się niepokoju: nie chcemy ominąć po drodze ani waszych mistrzów, kapiści, ani waszych, zwolennicy sztuki abstrakcyjnej. Nie widzimy jednak

celu w pobieraniu lekcji u uczniów. Wreszcie, nie jest wszystko jedno co się maluje — martwą naturę czy zgromadzenie ludowe. Obraz winien rozwierać przed widzem podwoje rzeczywistości współczesnej, a nie zatrzaskiwać mu je przed nosem.

Tyle z przebiegu dyskusji. Należy przyznać, że argumenty tematowców są ogromnie przekonywujące. Więcej — aż dech zapierają wspaniałością swych perspektyw kulturotwórczych. A jednak dyskusji one bynajmniej nie wyczerpują.

Zacznijmy zdaleka. Istnieje łacińskie przysłowie divide et impera, dziel i panuj. Naogół cytuje się je z okazji demaskowania jakichś cynicznych macherek politycznych: reakcjoniści lubią ciągnąć korzyści ze skłócania obywateli. Ale zwrot ten mógłby równocześnie być doskonałą formułą kulturotwórczą: gdy masz przed sobą jakiś twór kultury przeszłości, to *dziel* go, zanalizuj, wydobądź z niego elementy wstecznicze i złóż je do lamusa historii, a resztę, tę zdrową i twórczą resztę, wciel bez skrupułów do poczynań własnych; a gdyś tego dokonał, zająłeś w procesie tworzenia kultury postawę aktywną, *zapanowałeś* nad pewnym odcinkiem rzeczywistości.

Tak — a jeśli ci się to dzielenie nie udało, jeśliś w ogóle nie dostrzegł, że coś dzielić trzeba, jeśli, czyniąc to nawet, popełniłeś grube omyłki — cóż wtedy? Wtedy biada ci! Z pana stałeś się sługą, z nowatora tradycjonalistą. I trzeba przyznać ze smutkiem: tak na ogół się dzieje. I wszędzie — w polityce, w literaturze, w nauce. Jest niezwykły patos w przyzywaniu diabła przeszłości, w paktowaniu z nim, by sobie zeń uczynić narzędzie do realizowania celów diabłu obcych i nienawistnych. Ale i groźne niebezpieczeństwo. Spośród wszystkich tych, którzy igrali z ogniem, tylko jednemu mistrzowi Twardowskiemu udało się sprawić, że diabeł w popłochu uciekał przez dziurkę od klucza.

Mówmy mniej metaforycznie. Gdy pewne środowisko artystyczne, które najbogaciej i najsubtelniej rozbudowało było u siebie postulat dziedzictwa artystycznego, zaprezentowało nam wreszcie swe malarstwo w Warszawie, byliśmy nieprzyjemnie uderzeni wonią starzyzny, jaka z tych płócien na nas powiała. Najwidoczniej nie wiedzieli ich twórcy, jak w codziennej praktyce warsztatowej realizować dziedzictwo artystyczne, tak jak tego *w chwili obecnej nie umie jeszcze prawie nikt*. Płynie stąd dla tematowców warszawskich oczywiste niebezpieczeństwo.

Na to gotowi odpowiedzieć: dobrze, nie osiągnęliśmy tymczasem rezultatów prawdziwie nowych, ale pozostaje nam jedno na pociechę — oddziaływanie na rzesze pracujące. Ten argument jednak szwankuje. Jak mnie poinformował jeden z gospodarzy lokalu wystawy odzew wśród zwiedzających ją budzi jedynie Linke (który jest neoekspresjonistą i jako taki nigdy nie przejmował się postulatem dziedzictwa artystycznego), inni mniej się podobają, a już najmniej — Bobowski (który problematykę dziedzictwa najgłębiej przeżył). To może nie przypadek. Gdy Erwin Piscator tworzył swe genialne sceniczne agitki (nie pomiatać tym gatunkiem artystycznym!), do tradycji artystycznej odwrócił się w sposób jak najbardziej drastyczny — tyłem. I powodzenie miał takie, jak nikt przed tym ani po tym.

Więc cóż pozostaje? Nie wiem. To nie moja specjalność. Ale — choćby dla wywołania dobrze umotywowanych sprzeciwów — wysunę trzy niezależne od siebie propozycje, które, wedle ochoty, można traktować łącznie lub rozłącznie:

1) Jeżeli już tematowcy warszawscy obrali sobie ciernistą i niezmiernie długą ścieżkę dziedzictwa artystycznego — i *dobrze się stało że decyzja w tym właśnie duchu zapadła* — niech ją sobie trochę jeszcze wydłużą, pozwalając sobie po drodze na kluczenie, na eksperymenty, na skoki w nieznane, na popełnianie błędów. Sztuka — to nie protokół dyplomatyczny, gdzie wszystko musi się odbyć w najściślejszej zgodzie ze zgóry ułożonym planem. Niech nam i sobie sprawiają niespodzianki. Nie szkodzi: tak poczynali sobie najwięksi spośród mistrzów przeszłości — ci właśnie, w których tematowcy są tak miłośnie wpatrzeni.

2) Istnieje pedagogika i dydaktyka, istnieje psychologia wychowania — dyscypliny, których zadaniem jest zbadać, przy pomocy jakich środków najlepiej przemówić do serc i głów młodzieży. Niechby więc z inicjatywy i przy czynnej współpracy tematowców powstał bodaj instytut, któryby na gruncie dobrze opracowanej metodyki, przy pomocy ankiet, eksperymentów itp. w końcu (ale możliwie szybko!) całkiem ściśle dowiedział się, jaka sztuka rzeszom pracującym się podoba, a jaka nie, do jakich nowinek można je odrazu przyzwyczaić, a do jakich po wieloletniej dopiero umiejętnej zaprawie. I niechaj wnioski z tych badań służą artystom za dyrektywy w trakcie tłumaczenia problematyki społecznej na język plastyki.

3) Niech tematowcy pomyślą o kinie i o teatrze.

Jeżeli uczestnicy dyskusyj prywatnych nie zabiorą teraz głosu publicznie, może ich czytelnik nie bez podstaw uważać za ludzi małodusznych.

J. D. HOPENSTAND

Czas nagli

„Czas" nie ma czasu

Konserwa nie mieści się w tej chwili w głównym nurcie politycznym sanacji. Mimo to, a raczej właśnie dlatego, wyraża ona najśmielsze wspólne całemu obozowi antydemokratycznemu tęsknoty do wielkiej „narodowej" konsolidacji, wymierzonej przeciw „fołksfrontowi". Właśnie konserwa najgorliwiej zabiega o znalezienie drogi wyjścia z impasu na szeroki, wyasfaltowany szlak pełnego totalizmu. Czas nagli — i „Czas" nagli. Nastroje demokratyczne w kraju rosną. W polityce międzynarodowej faszyzmom powodzi się od jakiegoś czasu nie szczególnie. Pojednanie skłóconych grup reakcyjnych w Polsce staje się więc najpilniejszym nakazem chwili. Od dłuższego już czasu warszawski organ konserwatywny rozdziera szaty, napomina, doradza. Oto — powoli, ale nieustannie — dokonywa się zbliżenie różnych odłamów demokracji. Przede wszystkim PPS i ludowców. Do niedawna można się było pocieszać, że te próby zbliżenia socjalistyczno - ludowego natrafiają w St. Ludowym „na silny opór ze strony elementów umiarkowanych i narodowych" (ukłon w stronę b. piastowców). Ale jest coraz gorzej: „kto wie, czy ten opór nie osłabnie. Bo, jak słusznie pisało onegdaj ABC, robi się wszystko, by pchnąć ludowców w ramiona lewicy. Czyni to zarówno oficjalna polityka regimu, jak i Stronnictwo Narodowe, które w swej taktyce przejawia niezwyk-

łe uzdolnienia w kierunku rozdrażniania ludowców". Zresztą, jak wiadomo, zbliżenie między PPS a ludowcami zaznacza się bardzo wyraźnie właśnie na terenie Małopolski, w ojczyźnie „elementów umiarkowanych i narodowych" z dawnego Piasta. Właśnie województwo krakowskie zaprosiło na obchód Czynu Chłopskiego i PPS i Stronnictwo Pracy. I wbrew wysiłkom hrabiego Adama Romera z krakowskiego „Głosu Narodu" w wielu punktach kraju te trzy ugrupowania demokratyczne wystąpiły razem, wywołując tym solidarnym wystąpieniem całej demokracji dreszcze strachu w redakcji „Czasu", przed którą zamajaczyło już niesamowite widmo „frontu demokratycznego".

Dlatego po święcie Czynu Chłopskiego organ konserwatywny zaczął alarmować jeszcze donośniej. Wiadomo: bez Stronnictwa Narodowego nie ma i nie będzie „narodowej" konsolidacji. OZN + ONR + narodowi piłsudczycy + konserwa + jeszcze kilka odprysków — to jest ciągle wielkie nic, jeżeli nie będzie jeszcze + Stronnictwo Narodowe. Przecież nie ma różnic ideowych! Wskazywała na to już przed kilku miesiącami „Gazeta Polska" pisząc o „pozornym impasie". Wskazuje codziennie „Czas". Ale endecja nie słucha ojcowskich upomnień konserwatywnego dziennika, a nawet odpowiada całkiem nie grzecznie. Bo i ona rozumie, że bez niej tamta suma = 0. Endecja jak dotąd nie chce (bo może nie chcieć) wychodzić ze swej roli nieugiętej opozycji „narodowej" reprezentującej jedynie czysty, najpełniejszy nacjonalizm typu rzymsko-berlińskiego. Przecież tylko dzięki swej „opozycyjnej" polityce posiada tak liczne zastępy zwolenników, o których daremnie marzy tamta strona. Kto bystrzej patrzy na naszą rzeczywistość polityczną, ten widzi zresztą, jak ogromne usługi endecka opozycja odaje obozowi sanacyjnemu. Str. Narodowe, rozwijając w masach hałaśliwą akcję faszystowską, szerząc pogromowy antysemityzm, szczując przeciw demokracji, uderzając czynnie — pałką i kastetem — w ruch robotniczy i ludowy, popularyzując w społeczeństwie „osiową" politykę zagraniczną — ułatwia przez to wszystko obozowi sanacyjnemu obronę jego stanu posiadania. Paraliżując walkę narodu o demokrację, endecja przyczynia się walnie do utrzymania obecnego systemu politycznego. Próbkę tej użyteczności polityki „narodowej" dla sanacji dały np. krótkie, ale bardzo pouczające dzieje łódzkiej Rady miejskiej, która miała większość demokratyczną i zdolną do pracy, ale obstrukcja frakcji „narodowej" z mecenasem Kaziem Kowalskim na czele dała władzy nadzorczej asumpt do rozwiązania tego ciała, posiadającego pełne zaufanie ludności. W uznaniu swych narodowych zasług dla sanacji p. Kowalski słusznie został też obrany prezesem Stronnictwa Narodowego...

Ale „Czas" tym się nie zadowala. „Czas" chce, żeby tak wszystko razem, do kupy, skonsolidowane i pojednane, mogło skutecznie przeciwstawić się straszliwemu „fołksfrontowi", którego koszmarny majak spędza sen z utrudzonych powiek naszych konserwatystów. Może w tym wielkim porywie konsolidacyjnym i polityka rolna jeszcze bardziej dopasuje się do tradycyjnych upodobań hreczkosiejstwa. Od jakiegoś czasu jesteśmy przecież na wcale dobrej drodze. Ministerstwo rolnictwa doczekało się już pochwały na łamach magnackiego pisma!

Tymczasem Str. Narodowe — biada organ ziemiański — jest nie poprawne w swym partyjnym egoizmie. Ogłasza, że poza nim nie ma w ogóle ruchu narodowego i oświadcza, że od dotychczasowdej polityki nie odstąpi! Oczywiście „Czas" równie dobrze, jak my, rozumie, o co w gruncie rzeczy idzie. Rozumie, że endecja, świadoma swej wartości dla całego obozu antydemokratycznego, świadoma swej niezbędności w walce reakcji z demokracją, nie chce poprostu podporządkować się czyjemuś prymatowi, — przeciwnie, uważa, że jej i tylko jej ten prymat się należy. A druga strona zapewnia, że ani myśli o oddaniu prymatu. I nic dziwnego, że nie chce go oddać. Endecja ostatecznie żyje i w opozycji. Swoją robotę odrabia niezgorzej. Ale tamta strona żyje przecież tylko... prymatem. To, co jeszcze posiada w „terenie", zawdzięcza również tylko prymatowi. I niech tylko straci (czy też odda) prymat — a przestanie w ogóle istnieć. Bo proszę sobie tylko wyobrazić: sanacja w opozycji! — wyobraźnia zawodzi.

Dlatego impas trwa.. Dlatego „Czas" rozdziera szaty. I choć rozumie, dlaczego nie następuje pojednanie, biadoli, że „Stronnictwo Narodowe odrzucając, jak się obecnie okazuje, koncepcję szerokiej konsolidacji narodowej, konsolidacji, która była by niewątpliwie zdolna utorować drogę do władzy obozowi narodowemu, ogranicza tym samym swe polityczne aspiracje, rezygnuje z współodpowiedzialności za władzę, pragnie nadal pozostać ugrupowaniem opozycyjnym".

A to jest naprawdę smutne, bo tylko w ramach „szerokiej konsolidacji narodowej" przestała by konserwa być odpryskiem. Zepchnięta przez Ozon na dalszy plan jako grupa kompromitująca w „terenie", jako coś w rodzaju kuli u nogi — pragnie ona odegrać się w roli bezinteresownego maklera między całą sanacją a endecją. Występując jako inicjatorka zespolenia całego obozu antydemokratycznego, chce stać się potrzebną dla obu stron i u obu stron podnieść swe znaczenie. Gdyby jej się udało doprowadzić do upragnionej konsolidacji, weszła by przecież w skład zjednoczonego obozu „narodowego" — zasłużona i niezbędna, szanowana przez wszystkich. Dlatego tłumaczy endecji, jak wiele może zyskać na kompromisie z sanacją, a ile traci w razie dalszego trwania obecnego stanu. Ale endecja nie słucha. Nie posłuchała przecież „*Gazety Polskiej*" — cóż dopiero konserwatystów! Endecja ma czas. Ale „*Czas*" nie ma czasu. Dlatego denerwuje się i zżyma i gniewa na „*Warszawski Dziennik Narodowy*". I jakże wielki musi być żal obszarniczego organu do endecji, gdy zarzuca jej wręcz, że słucha żydowskich rad, bo tylko Żydzi odnoszą korzyść z endeckiej nieustępliwości!

Te konserwatywne troski i żale, nadzieje i rozczarowania, zasługują o tyle na uwagę, że pozwalają dojrzeć cały powikłany splot trudności i rozbieżności w łonie „konsolidującego" się uparcie obozu antydemokratycznego. Podekscytowana, niecierpliwa wylewność „Czasu" ukazuje w jaskrawym świetle to wszystko, co urzędowa powściągliwość „Gazety Polskiej" czy „Warszawskiego Dziennika Narodowego" usiłuje zakryć przed wzrokiem profanów. A jest tego nie mało.

ZYGMUNT NAŁĘCZ.

Z czasopiśmiennictwa

Ukazał się numer pierwszy za rok 1938 „Sceny Polskiej" wznowionej pod redakcją **Tymona Terleckiego.** Zawiera on bogatą i urozmaiconą treść: **Leon Schiller** przeprowadza gorącą „Obronę opery", **Bohdan Korzeniewski** opowiada o nędzach „bezdomnej nauki" — teatrologii w Polsce, **Krystyna Grzybowska** drukuje rewizjonistyczne studium: „Tragedia Bałuckiego". Zamykają ten dział opracowania historyczne (**St. Bar** „Teatr Krakowski pod dyrekcją Koźmiana", **S. Głowacki.** Taniec widowiskowy w średniowieczu i renesansie), wspomnienia (znakomitego aktora i prezesa Związku Artystów Scen Polskich, **Józefa Śliwickiego),** materiały listy Modrzejewskiej opracowane przez Krystynę Grzybowską). **Jerzy Zawieyski,** pisze o ruchu teatrów ludowych, **Jan Ostrowski-Naumoff** o baletmistrzu warszawskim Zajlichu. Dział „Teatr zagranicą" wypełniają studia: **Z. Zaleskiego, Wandy Melcer i Massimo Taricco.** Zamykają ten trzystustronicowy numer obfite działy recenzyj z literatury teatrologicznej polskiej i obcej.

Konfiskata „Epoki"

Poprzedni numer „Epoki" (23) został skonfiskowany za artykuł p. t. „Dachau, miasto grozy".

Do Przyjaciół „Epoki"

Prosimy o podanie nam adresów osób, którym należy przesłać numery okazowe „Epoki"

Od Wydawnictwa

Abonentów, którzy zalegają z opłatą prenumeraty za kwartał bieżący prosimy o uregulowanie należności

Czytajcie prasę demokratyczną

Dwutygodniki:
„Albo — Albo"
„Sygnały"

Tygodniki:
„Czarno na białem"
„Wici"
„Zielony Sztandar"

Dzienniki:
„Kurier Powszechny", Wilno
„Kurier Wieczorny", Kraków
„Dziennik Ludowy", Warsz.
„Robotnik", Warszawa

REDAKCJA i ADMINISTRACJA, WARSZAWA, UL. ORDYNACKA 5 — TEL. 213-90 — KONTO P. K. O. 26.630
REDAKTOR przyjmuje w środy i piątki od godziny 17-ej do 18-ej. RĘKOPISÓW nie zwraca się
PRENUMERATA kwartalnie — zł 4.—. Numer pojedyńczy 50 gr.
OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm. lub jego miejsce (szer. 90 mm) zł 1.— w tekście. Za tekstem (szerokości 60 mm) gr 40.
REDAKTOR i WYDAWCA: HENRYK LUKREC 5190 Odbito w Zakł. W. Piekarniaka. Warszawa, Ordynacka 3